

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXVIII Nr 9(325) Żelów, wrzesień 2023

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Joanny Babiarez, Renaty Batko, Eligiusza Dymowskiego, Joanny Guzik, Wojciecha Łęckiego, Agnieszki Jarzębowskiej, Małgorzaty Kulisiewicz, Katarzyny Dąbeckiej, Jerzego Stasiewicza, Ireny Tetlak, Zbigniewa Tłakki

Andrzej Dębkowski – *Lirycznie*

Józef Baran – *Ławeczka Barana* (10)

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (203)

prof. Ignacy S. Fiut – *Obowiązek poezji dzisiaj*

Stefan Jurkowski – *Milcz, dziadu!*

Joanna Friedrich – *Saudaude. Hortiterapia*

Andrzej Walter – *Wojna, pokój i wolność*

Kazimierz Ivosse – *Obrona rozumu, nie głupoty*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (48)

Eugeniusz Kurzawa – *Spis treści* (12)

Jerzy Swoboda – *Arkady Fiedler w Żelowie i inne wspomnienia*

Stefan Michał Żarów – *Ireneusz Niekowal – poeta przzerwanej pieśni*

Irena Nycza – *Woda, ogień, prąd*

Jerzy Languaer – *Pierwsza wojna polsko-indiańska*

Mirosław G. Majewski – *Uczyć się od mistrzów, czyli jak Majewski z Majewskim*

Switłana Bresławska – *Manuskrypt Piotra Prokopiaka*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Kronika

Zmarł Lâm Quang Mỹ



25 lipca br. zmarł **Lâm Quang Mỹ** – polski poeta wietnamskiego pochodzenia, tłumacz literatury wietnamskiej na język polski i polskiej na język wietnamski.

Lâm Quang Mỹ (*właściwie* Nguyễn Đình Dũng) urodził

się w Wietnamie w 1944 roku. Ukończył elektronikę na Politechnice Gdańskiej. Po powrocie do kraju, pracował w Centrum Badań Nauki i Technologii w Hanoi. Do Polski ponownie przyjechał w 1989 roku. Doktor nauk fizycznych (pracował w Instytucie Fizyki PAN i członek Związku Literatów Wietnamskich i Związku Literatów Polskich).

Wiersze pisał w języku ojczystym i polskim. Przekładał literaturę polską na język wietnamski. Publikował w Wietnamie m.in. wiersze C.K. Norwida, Z. Krasińskiego, Jana Pawła II, Cz. Miłozza, W. Szymborskiej, T. Różewicza oraz wielu polskich poetów współczesnych. Uczestniczył m.in. w: Warszawskich Jesieniach Poezji, Światowych Dniach Poezji UNESCO, Międzynarodowych Listopadach Poetyckich w Poznaniu, Krynickich Jesieniach Literackich, Międzynarodowych Jesieniach Literackich Podgórze, Produkcji teatralnej „I Miasto przemówiło” (*And the City spoke*) w Anglii, Polsce i Italii, Międzynarodowych Galicyjskich Jesieniach Literackich, Międzynarodowym Festiwalu Wiosny Poezji w Wilnie (Litwa), Międzynarodowych Literackich Sesjach w Rzeszowie, Międzynarodowych Festiwalach „Poeci bez Granic” w Polanicy, Międzynarodowych Poetyckich Spotkaniach w Czechach i innych.

Publikował w polskich pismach literackich: „Poezja dzisiaj”, „Literacka Polska”, „Iskra”, „Gazeta Kulturalna”, „Temat”, „Enigma”, „Złote myśli”, „Warsaw Tales” (New Europe Writers Ink), „Znad Wili” „Ślad”, „Autograf”, „Tygiel” oraz w innych czasopismach, gazetach, na stronach internetowych oraz w antologiach poetyckich polskich i zagranicznych.

Opublikował tomy poezji: „Echo – Tiếng vọng” (po wietnamsku i po polsku, Polska Oficyna Wydawnicza Warszawa 2004), „Đợi” (Oczekiwanie) (Wydawnictwo „Kultury i Informacji” w Hanoi 2004) i „Przemija życie... – Life pass on...” (poezja, po polsku i po angielsku, wydawnictwo Temat, Bydgoszcz 2010). Jego wiersze tłumaczone były na język czeski przez poetkę Verę Kopecką i wydane w tomiku „Zatoulana píseň” (Zabłąkana pieśń) w 2008. Tłumaczył na język polski (z Pawłem Kubiakiem) i wydał Antologię Poezji Wietnamskiej od XI w. do XIX w. (Wydawnictwo IBIS Warszawa 2010). Wydał tomik po wietnamsku i po angielsku: „Chiều roi trên sóng – Evening descends on waves” (Wydawnictwo ZLW w Hanoi 2012).

Laureat wielu literackich nagród, m.in. Światowych Dni Poezji UNESCO 2006, dwukrotnie otrzymał „Wielki Laur” festiwalu Literacka Galicja (2009 oraz 2011). Otrzymał nagrodę im. Klemensa Janickiego za całokształt twórczości oraz

ministerialny Medal za zasługi dla kultury polskiej (2013). Otrzymał honorowe obywatelstwo gminy Krasne (rodzinnych okolic Zygmunta Krasińskiego).

Zdjęcie w tekście: Andrzej Dębowski

Jerzy Stasiewicz

Dla Lâm Quang Mỹ

Popioły snu

Lâm Luang Mỹ wietnamski poeta którego cenię i znam osobiście napisał:

*Przygiął kawał nieba
- niebo w ciszy!*

*Przemysłał
Cofnął rękę ...*

Pewnej nocy
kiedy przyszło dzielić się chlebem
przeklinałem świt

Wspomniała mi się matka
z piersią pełną mleka nad kołyską
po izbie rozchodził się zapach
pieczonego chleba na liściu kapusty

Ojciec zostawił drzwi otwarte
dłonie pachniały żywicą
jakby łupał drwa
do jądra korzeni

Stoję z nożem nad bochnem kamienia
będę kroić kromka po kromce
do pierwszego zaczynu
gniotąc rosnącą górę

Niewielu może zasnąć tej nocy

Wiatr wydmuchuje tajemnice strychu
nie pozwala otwierać okien
żywych wołać do siebie
by poznali prawdę
i popioły snu

Wojciech Łęcki
skończył 75 lat

Wojciech Łęcki – polski poeta, satyryk, aforysta, fraszko-pisarz, krytyk literacki, autor opowiadań, powieści, utworów dramatycznych i dziennikarz obchodzi 75. urodziny. Urodził się w 1948 roku w Starachowicach. Z zawodu jest mechanikiem-auto-matykiem-logistyką.

Absolwent plockiej *Siedemdziesiątki* (matura 1967), bydgoskiej ATR, Politechniki Warszawskiej, SGH, Centrum Edukacji Logistycznej

w Poznaniu. Zawodowo był związany z koncernem petrochemicznym w Płocku, zasłużony racjonalizator, laureat Nagrody im. Ignacego Łukasiewicza za 1978 rok, autor pierwszych w Polsce programów komputerowych do projektowania układów automatyki w latach 1974-85, przewodniczący Komisji Konkursowej Nagrody im Ignacego Łukasiewicza w latach 1987-97.

W latach 1985-2008 wykonywał również zawód dziennikarza (redaktor, sekretarz redakcji, redaktor naczelny), założył tygodnik samorządowy *Goniec Obywatelski* (1990) i periodyk literacki *nawias* (2000). Recenzje literackie, teatralne, muzyczne i plastyczne drukował m.in. w *Sztuce*, *Poradniku Muzycznym*, *Gońcu Teatralnym*, *Akancie*.

Laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in. „XV Dni Leśmianowskich” (2001), XXX Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu (2007).

Debiut prasowy: „Wieści”, Kraków, 1982. Debiut książkowy: „Iskry”, 1986, tomik *Drzewa szare od marzeń*. Wiersze publikował m.in. w *Radarze*, *Poezji*, *Akancie*, *Akancie*, *Autografie*, *Gazecie Kulturalnej*, polonijnym *Liście Oceanicznym* oraz w czeskim *Psi vino* (przekład Libora Martinka) i w audycji *Poezja nocą* (program I PR). Opowiadania drukował w *Twórczości* i *Autografie*. Jego wiersze tłumaczone były na język angielski, niemiecki, norweski, czeski i litewski. Wiersze i aforyzmy w wielu antologiach. LSW wydała w 2017 roku jego „Poezje wybrane” w serii „Biblioteka Poetów”.

Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Stowarzyszenia Autorów ZAiKS oraz Stowarzyszenia Kultury Europejskiej.

Odnaczony m.in.: Medalem 750-lecia Miasta Płocka za libretto do oratorium pt. „Konradorium” i publicystykę kulturalną (1987), odznaką Zasłużonego Działacza Kultury za działalność i publicystykę kulturalną (1990), Medalem 95-lecia Płockiego Towarzystwa Muzycznego za publicystykę muzyczną (1995), Srebrnym Krzyżem Zasługi za działalność i publicystykę kulturalną (1998).

Zdjęcie w tekście: Wikipedia



Andrzej Walter

Wojna, pokój i wolność

Zaczął mnie ostatnio w jednym z komentarzy nasz bodaj jedyny obecnie poeta eksportowo maturalny, czyli nie kto inny, jak sam Józef Baran:

„ciekawe jest to, co piszesz o wolności”,

co mnie panicznie zmroziło i jednocześnie postawiło do pionu – mój Boże, a cóż to ja takiego napisałem o tej wolności. Moja bardzo wielka wina, a jednak, napisałem. Jednak zbłądziłem, zgubiłem się, zgrzeszyłem, pisząc – wolność (...) wolność – słowo najważniejsze, słowo klucz, sezam naszych dusz, jeśli takowe jeszcze mamy... wolność, słowo jakże współcześnie wyświechtane, naobrażane, spostponowane i zniszczone mentalnie przez szyderców. A jednak słowo wolność, dla mnie i mnie podobnych, to wciąż słowo, a raczej pojęcie będące busolą sensu, terapią względności czy nadzieją ponad nadziejami. To słowo i pojęcie, przy którym dusza się rozgrzewa, nabiera otuchy, odnajduje cel.

Com napisał, napisałem, przeczytajcie sobie sami *esej o osieroconych poetach*. Czegom nie napisał, może jeszcze kiedyś napiszę (!?) Ważniejsze chyba, to jest to czego nie napisałem, albo czego może jeszcze bałem się napisać, bo wolność to: (też)

(z tomu „Pokój i wojna”, Józef Baran, PIW, 2022):

Przypowieść o wolności absolutnej

chciałem mieć wszystko

*więc
nie przywiązywałem się
na stałe
do niczego*

*w ostatecznym rozrachunku
cierpię na
chroniczny stan nieważkiej
samotności*

Co to jest wolność? Co to prawda? Co to samotność?

Kto wie?

*może ci tylko ocaleją
co nie kalkulowali
lecz
kochali*

*i po tamtej stronie
czekają na nich
goręjące serca*

*a ci którzy
żaru serca nie zaznali
sami wtrącają się*

*do zimnicy
otchlani?*

To właśnie wiersze z ostatnio wydanego tomu Józefa Barana „Pokój i wojna”. I On mnie zaczął o wolność?! O wolności samemu pisząc i to dobrze, mądrze pisząc, no cóż. Wolność nie jedno ma imię.

Być może o wolności możemy tylko rozmawiać poezją. Być może wolności nie ma, a absolutna jest tylko idea – mglistą przestrzenią wymyśloną przez Platona oraz innych filozofów, bogów myślenia. Być może wolność to nasz... nakaz sumienia, jeśli sumienia mamy, a może to kategorię imperatyw naszego istnienia i naszych dążeń, a może wolność to sen, nasz najczęściej śniony sen, nasze marzenie, stan wyższy, nierealny naprawdę do przeżycia trwale. Być może to właśnie fatamorgana naszego życia. Wolność. Przeciwnieństwo niewoli, w którą wtrącił nas dobry Bóg, umiejscawiając nas pomiędzy życiem i śmiercią. Tylko przypominę – w tę śmierć wtrąciliśmy się sami, częstując się tym nieszczęsnym jabłkiem, w tym nieszczęsnym raj... Dzisiaj to już tylko bajki. Biblię, od której poczytałem edukację, odstawiono do lamusa ludzkości. Wiemy lepiej. Absolutnie wolni. W klątkach samotności.

Otóż nie. Po stokroć nie. Wolność to wiara. To odwaga wiary. To moc wyjścia poza nieskończone, moc przekroczenia granic, siła wyobraźni, ciekawości świata, zachwyty, potrzeba poczucia sensu, nadziei, pokory wobec potęgi wszechświata i rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Wszystko to co dziś wyśmiane, zdeprecjonowane, zdeformowane i odłożone do tego samego lamusa. Lamusa świata, historii, dawnych zasad człowieczeństwa.

Bo przecież dziś kategorię imperatyw przemodelowano do postaci li tylko zasady, już bez Boga, bez absolutu, w miejsce Boga podstawiono nas samych – nie jako wspólnotę (czytaj jakakolwiek Solidarność, słowo bliskie wolności), a jako samoistne jednostki, którym przecież wszystko wolno. Podobno ta nasza nowa wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność innego, ale gonimy sami siebie, krok po kroku, nakładając ograniczenia i hamulce, aby tylko dawać wolność absolutną jednostce zwłaszcza w jej buncie wobec Boga. Przecież bogiem jesteś ty sam. Sam ustanawiasz reguły, sam się rozgrzeszasz, sam wyznaczasz granicę. Czy to jest wolność? Czy już jej karykatura...

Ale po cóż się nad tym zastanawiać?

Wyrzuc książki, rozterki, wątpliwości, namysł, roztrząsania problemów religijno-etycznych, wyrzuc myśl, komplikację i jakiegokolwiek skupienie. Wyrzuc głębię, duchowość, skupienie, wyrzuc jakieś nieszczęsne sumienie i żyj, pełną piersią, radością życia, baw się, sobą, innymi, ciałem i rozkoszą, bez tchu, bez granic, bez stresu i bez dylematów (moralnych, etycznych, filozoficznych, bez ciężkich Norwidów i ciężkich Baranów) bez Walterów, Hellerów, Kołakowskich i innych mącieli, konstruktorów wiary i dusz. Konstruktorów? Wolne żarty. To psujące hedonizm mendzioty rzeczywistości, głosy wołające o coś, czego już nie ma, nie było i nie będzie...

Wolność? Czym dziś jest ta wolność. Kochaj i rób co chcesz? Augustiańskie zawołanie wypaczono już dziś w sposób jakże pełny i wyrafinowany. Odzierając je z wymiaru boskiego osiągnięto idealnego imbecyla rzeczywistości, który już nie wie czy kocha czy używa, czy nadużywa, który nie wie kim jest i po co jest, nie wie dokąd zmierza, a zwłaszcza skąd przyszedł. Nomada idealny. Łatwo sterowalny. Plastycznie ukształtowany do postaci marionetki czasów, w którą można już zrobić niemal wszystko. Wojnę, i pokój, i pandemię, i ekstazę emocji wywołaną totalnie medialnie poprzez setki możliwych technicznie bodźców idealnie rozprawdzanych całą tą użytkową techniką komunikacji i technologią wszechogarniającego atakowania nas obrazem, emocją, dżganiem naszej jaźni impulsami lepszymi niż poezją, którą trzeba przecieć zgłębić intymnie, nie stadnie, dyskretnie i w ciszy swojej izdebki. A dziś jedynie stadne ekscytacje porywają miliony. Budzą respekt i podziw, ba, szacunek, autorytet... zachwyty?

Czy zabrano nam wolność? Ależ nie. Otrzymaliśmy jej znacznie więcej. Aż po wolność do samobójstwa, bez grzechu, bez wyrzutu, bez dylematu i zbytniego zastanawiania się nad wyrazem etycznym takiego kroku. *Paszoł won*, bez ciebie więcej miejsca dla innych, zdrowych, pięknych i bogatych, jak z reklamy whiskasa, człowiek hodowlany 4.0 hiper mega szczęśliwy, kiedy kupuje.

To wolność absolutna. Wolność silniejsza... od wolności. Wołość ponad celem i sensem, wolność idealna, ale jakby zamulona, bezkształtna i nie wiadomo po co? Za dużo już mamy tej wolności. W pełni wyzwoleni umieramy z samotności.

No i teraz pojawiają się ci wszyscy rycerze Ciemnej Strony Mocy. Ci, którym wolno wszystko, ci, którzy nami gardzą, którzy prą do przodu, kochają władzę, order, oklaski i podziw, którzy długo patrzą w lustro podziwiają cud stworzenia, jego cel i ideał – samych siebie. Człowiek, to brzmi dumnie, wokół niego przecież krąży cały wszechświat, planety, galaktyki, czarne dziury, supernowe i odległe obce światy.

(Dokończenie na stronie 4)

Wojna, pokój i wolność

(Dokończenie ze strony 3)

Entropia to szalony pomysł złych Bogów, to złudzenie – ja, jestem sam sobie – sterem, żeglarzem, okrętem.

Taki świat boli. Doskwiera. Przytłacza ludzi wątpliwych, wrażliwych, pokornych, ludzi wielkich serc, którzy wiedzą co znaczy: kochać, cieszyć się, w coś wierzyć i płakać po stracie. Ludzi świata, którego już nie ma...

Dziatkwie i dziadki

najpierw dziatkwie
pomagają dziatkom
w stawianiu pierwszych kroków
na wirującej kuli ziemskiej

potem dziatkwie
uczą dziadki
chodzenia
po księżycowym
wirtualnym globie
gdzie wśród pinów i kodów
poruszają się
niezgrabnie
jak Armstrong
na Księżycu
i stale zachciwa im się powrotu
na Starą Ziemię

jednak Stara Ziemia
usuwa się im
coraz bardziej
spod nóg
i coraz częściej
śni się dziadkom po nocach
że całkiem zniknął
wymieniony przez złego czarodzieja
na supernowoczesny model
cyberświata

z którego ich wyeksmitowano

dreptają pukają w drzwi i w okienko
lecz żaden ze starych kluczy
nie pasuje
do żadnego z zamków
w ich serdecznych skrytkach

Nieuchronnie odnoszę wrażenie, że „dziatkwie” już nie doceniają pomocy w pierwszych krokach, o wirującej kuli ziemskiej wiedzą tylko tyle, że jest wokół niej „ocieplenie klimatu” i mierzymy ku jakiejś bliżej nieokreślonej katastrofie, zatruwając naszą zieloną planetę, przy czym katastrofa ta to nie żadne wojny, kryzysy finansowe czy pandemii, a bardziej hipotetyczny armageddon zalewających nas wód, a nad tymi wodami przecież... brak ducha, duchów nadprzyrodzonych, bo jest przecież owa przyroda – w niej ukrył się i Bóg, i wolność, i piękno i poezja... a może i gorzej, bo po życiu tylko nicość i

bezgraniczna pustka. Bezgraniczna? Wolne żarty. Świat to granice.

Spełnia się zatem *Nikifor* cyberświata. Wystrugano oto nowych ekoludzi, niezbyt lotnych, mało czytanych (żeby nie powiedzieć w ogóle nieoczytanych), łatwo łykających dobre spreparowane „poruszaczki” emocji i odpowiednio reagujących na ... wolność i jej imperatyw – już nowy, nowoczesny, by nie powiedzieć cyfrowy.

Ten wiersz, wiersz o dziatkach i dziadkach jest właśnie dowodem na wolność, ale to ta wolność starodawna, wolność, której już nie ma. On jest właśnie napisany wolnością. Wolnością, której już nikt prawie nie rozumie, albo ci, co rozumieją wymierają w zastraszającym tempie. Jest napisany wolnością, bo właśnie to narracja dziś niezrozumiała, posiłkowanie się staromodną wizją świata, jakiegoś następstwa pokoleń, u podłoża którego leżą: miłość, szacunek, następstwo kolei rzeczy. Czy może nawet, w domyśle, jakieś nieuchronne przemijanie. To za skomplikowane, za normalne, za mało zdeformowane. Lepiej napisać taki wiersz / jak Sebastian Brejnak/

FK

L. jama nosowa

Sam opis to wystarczy żeby przestudiować
twarz w trybie zaocznym
(za uszami niczego nie widać pod światło)

Aparatury działają w poprzek historii
prężni maszyniści kleją fantomy zamiast bólu
To wciąż za mało jak na czas
który się ma albo posiada
za dużo na literaturę bez dotacji
(przerwami na papierosa fingującej
wypróżnienie)

Zaczerpniecie głębokiej ziemi prosto do płuc
płyccie przy punkcie K języka

On tnie na kawałki sprośne dykcje
i zabija brudne szyby gładką dyktą

Skądinąd niezły wiersz tej naszej nowej polskiej poezji, ale dla kogo są te wiersze – pytam? Dla tych niczego nie czytających kretyków? Co oni z tego pojmą? Nic z tego nie rozumieją. My rozumiemy, ale co z tego. Jak rozmawiać z czytelnikiem przeciętnym, chcącym czytać dla informacji, rozrywki i poszerzenia światów? Sądzę, że lepiej rozmawiać i pisać Baranem, nie Brejnakiem, a ponieważ ten wiersz, wiersz awangardy językowej, tak dziś ułnie lansowanej przez elitarne środowiska poetyckie dowodzi tylko tego, że... chyba lepiej i prościej przemawiać Baranem do ludzi i świata żeby jeszcze choć cząstkę (tej poezji) ocalić – ale i cząstkę: normalności, ciepła i wzajemnego zrozumienia, aby ta samotność coraz powszechniejsza trochę mniej bolała.

Dla jednych będzie Baran, dla innych pojawi się Brejnak. To wciąż jedna i ta sama poezja. Nasza poezja. Dlatego chyba uznałem, że Baran jest pisany wolnością, a Brejnak modą, że Baran nie musi już nikomu niczego udowodniać, nawet sam sobie i ma w poważaniu mody i efemerydę języka, a kreuje prawdziwe proste przeżycie, a nie wypróżnienia zbunt-

wanych młodych napalonych... Brejnak, jak mu latek przybędzie sam napisze Baranem – jak go trochę los przeciągnie pod nowotworem i śmierć w oczy spojrzysz... a każdemu spojrzysz...

Przestrogi starego poparzonego dla młodego napalonego

to prawda
że prawda i tylko prawda
może wyzwolić

lecz z prawdą trzeba się ostrożnie
obchodzić

prawda
mój drogi
bywa ostra
jak lancet chirurga
moment nieuwagi
i już ktoś jest poraniony
lub okaleczony

widziałem człowieka
który gdzie się pojawiał
wymachiwał szabelką prawdy
i brzytwą Ockhama
siejąc popłoch
aż stał się groźny
dla otoczenia
i zamknięto go
w szpitalu dla szczerych idiotów

najlepiej przechowywać ostrą prawdę
w futerałach
i używać tylko w razie konieczności
żeby
nie podcinać skrzydeł
nie gasić w krąg ducha

zaś na podręczny użytek
mój napalony
noś ze sobą
plastykową prawdewkę
jednorazowego użytku
z poduszkatwym zaokrągleniem
zamiast ostrza

tłumaczył stary młodemu
lecz ten patrzył w inną stronę
i był poza jego zasięgiem

Dożyliśmy tak oto czasów, kiedy wszyscy wydajemy się być już poza zasięgiem. Bo cóż to znaczy zasięg? Może dziś zasięg = wolność? Pytanie jest o tyle retoryczne o ile zdefiniujemy ów zasięg. Tyle, że zasięg ten wydaje się być niedefiniowalnym punktem odniesienia czasów bez treści, bez sensu i bez przemyśleń. Tak jak i wolność. Martwe pojęcie dla ... lekkoduchów.

Żyjemy jakby w innych światach. Ani z nas konserwatyści, ani postępowcy. Ani z nas bohaterowie, ani tchórze. My, z tamtej epoki, chcemy coś ocalić, ci nowi, młodzi czy nawet nieco starsi, nie za bardzo wiedzą, czują i rozumieją co my tak naprawdę chcemy ocalić. Samotni w efekcie są i jedni i drudzy.

(Dokończenie na stronie 8)

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (12)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Na połówce kartki A4 poeta odpisał na maszynie: „Szanowny Panie, istotnie dochodzą mnie dość liczne głosy, podobne do Pańskiego listu (...). Ta szczupła (pojemnościowo, choć chyba gęsta) książeczka wzbudziła silnie umysły co wrażliwszych i głębiej myślących czytelników. I Pan się do nich zalicza: nie dziwota, skoro jest Pan poetą. Ale zaszczycenie dziwne to, że Pan myśli obsesyjnie o sprawach ostatecznych w 27 roku życia, gdyż zazwyczaj wychodzą tym sprawom naprzeciw ludzie dłużej doświadczeni wiekiem. Parę wierszy związanych w liście utwierdziło we mnie obraz Pańskiej postawy poetyckiej poddanej temu samemu ciśnieniu, pod którym stworzona »Godzina X«. Piszemy wiersze po to, aby zaprzeczyć umieraniu, aby zaprotestować przeciw umieraniu, to postawa godna poety.” Odręczny podpis – Jalu Kurek.

Poeta zmarł jeszcze przed wydaniem „Pochodni”, w 1983 r. w Rabce, choć zdążył do tego wydawnictwa napisać wstęp. Jego osobliwe imię zostało mu nadane przez ojca, a wywodziło się od rzeki Yalu, stanowiącej granicę między Chinami a Koreą. Do twórcy Awangardy pasowało jak ulał. Ktoś, chyba ze środowiska krakowskiego, opowiadał mi, że „Godzina X” powstała po zawale czy innym traumatycznym przeżyciu, jakiego pod koniec lat 70. doznał poeta. Widać było to dla niego mocne, głębokie i bolesne doświadczenie. Zawsze zastanawiało mnie, w jaki sposób przeżył własną śmierć (wiem, to nietrafne sformułowanie, ale jakie będzie lepsze?) twórca tak znakomitej wiewsekcji odchodzenia.

Jalu Kurek, ur. 27 lutego 1904 w Krakowie – zm. 10 listopada 1983 w Rabce. Poeta i prozaik, dziennikarz. Ukończył polonistykę i romanistykę na UJ w Krakowie. Przed II wojną związany z Awangardą Krakowską. Laureat Nagrody Młodych PAL za powieść społeczno-obyczajową z życia wsi małopolskiej pt. „Grypa szaleje w Naprawie” (1934).

Romuald Mieczkowski

Romka – wtedy jeszcze mieszkańca Wilna – poznałem w klasztorze pokamedulskim nad Wigrami; mieścił się w nim kiedyś ośrodek pracy twórczej Ministerstwa Kultury. Co roku we wrześniu odbywały się tam plenery malarskie „Sztuka i środowisko” (od 1977 roku), przekształcone potem w międzynarodowe seminarium pod hasłem „Kultura i środowisko”. Brałem w nich udział najpierw jako dziennikarz, później uczestnik, a w końcu zostałem współautorem (z Andrzejem Strumiłłą) książki dokumentalnej o tym zdarzeniu. Podczas jednego z seminariów, gdzieś pod koniec lat 80., prof. Strumiłło przedstawił Lidii i mnie Romualda Mieczkowskiego, poetę i dziennikarza z Wilna, nieomal mojego rówieśnika. Wszyscy uczestnicy „Kultury i środowiska”, a do nich należał Mieczkowski, mieszkali podczas tej prawie dwutygodniowej debaty w klasztornych eremach. Tam też umówiliśmy się w przerwie obrad na rozmowę. Romek podjął nas w swoim pokoju, częstując herbatą (woda była oczywiście gotowana grzałką), a że nie było w pobliżu cukru, zaproponował, żeby posłodzić herbatę wkruszoną do niej... czekoladą. Mógł to być rok 1987, a może i 1988.

Pierwszy ów kontakt zaowocował ciekawą i wieloletnią współpracą nie tylko moją z Romualdem, ale i środowiska literackiego Białegostoku z grupą wilnian. Po dalszych paru latach owocem tych kontaktów była m.in. wizyta czwórki wileńskich poetów w Ogrodzie sztuk (21 maja 1998), nie mówiąc o licznych publikacjach i wielu przedsięwzięciach; dziś nie sposób ich wszystkich spamiętać. Za najważniejsze uważam to, iż dowiedziałem się o istnieniu licznej mniejszości polskiej na Wileńszczyźnie (około 270 tysięcy rodaków), w tym grona poetów skupionych w kółku literackim przy redakcji dziennika „Czerwony Sztandar”, drukowanego po polsku. Niedługo potem, jako przedstawiciel środowiska pisarzy białostockich, na zaproszenie kółka jechałem już do Wilna (współ z poetą Janem Leończukiem), gdzie poznałem wszystkich członków polskiej grupy; zaliczyłem wraz z nimi umowy szlak mickiewiczowski (z Nowogródkiem i Świteżą łącznie). Wyjaśniam: dopóki istniał ZSRR, nie było granic państwowych między Litwą a Białorusią. Bez problemów można było pojechać z Wilna i Jaszun do Bieniakoni, Nowogródka, nad Świteż, do której zresztą wszedłem po kolana i kazałem sobie zrobić zdjęcie na dowód obecności (nie zachowało się). Nad Świteżią opalały się rozneglizowane dziewczyny, zaś na tajemniczej powierzchni jeziora kołysały... rowery wodne. Szlak mickiewiczowski zaliczyliśmy 10-osobowym busem (załatwionym u dyrektora kołchozu, Polaka). Pamiętam egzamin, jaki z twórczości Mickiewicza zrobił nam po drodze Ryszard Maciejkianiec, późniejszy prezes Związku Polaków na Litwie, dobrze zapamiętałem również poprzedni (sztuczny, bo nieprawdziwy) dom Mickiewiczów w Nowogródku oraz pasudne zaopatrzenie w tym mieście. Ale i wkruszając wziętą w nowogródzkiej farze, przed którą stał tłumek miejscowych Polaków (– Wołajcie

księdza! – taka była reakcja na widok Polaków z kraju). W Bieniakoniach poznałem Michała Wołosewicza, stróża miłości Maryli i Adama. Odwiedziliśmy słynny lasek (to 2 km w bok od Bieniakoni, w kierunku Tuhanowicz), gdzie podobno Maryla Wereszczakówna spotykała się z Mickiewiczem przyjeżdżającym konno z Kowna. W lasku leży głaz, w którym ona, czekając na niego, ryła linię poziomą, a on zaś, gdy jej jeszcze nie było, wydułbywał pionową. Powstał krzyż. Przez cały ten czas (nie tylko w tej podróży) podpuszczałem moich przyjaciół poetów, żeby zrzucili z siebie to „jarzmo Mickiewicza”. Nie udało się namówić ich do tego kroku. Po wycieczce zrozumiałem, że to chyba niemożliwe.

Z pobytu na Wileńszczyźnie przywoziłem, jeśli się nie mylę, kilogram wierszy! Autorami byli, nieznanymi w Polsce, początkujący autorzy, głównie z kręgów kółka literackiego. Niektórzy z nich mieli za sobą debiut w wydanej w 1985 roku w Kownie antologii „Sponad Wilii cichych fal”. To bardzo ważna, pierwsza powojenna polska książka poetycka nie tylko na Litwie, ale w całym, istniejącym jeszcze Związku Radzieckim! Obecnie rarytas! Postanowiłem pomóc kolegom po piórze. Przywiezione utwory przepisywałem przez kalkę i rozsyłałem do redakcji pism literackich i kulturalnych w kraju. Dołączałem szkic, notę, w zależności od zamówienia redakcji (patrz hasło: M. Wawrzkiwicz).

W rewanżu moi nowi wileńscy znajomi przy kolejnej okazji odwiedzili się, jak mogli, czyli oprowadzeniem po Wilnie, licznymi opowieściami historycznymi i biograficznymi (tu brylował Wojciech Piotrowicz, matematyk-poeta), pośredniczyli w nawiązywaniu następnych znajomości, prowadzili niekiedy tam, gdzie trudno było się dostać: na przykład zakamarkami do celi Konrada; kilka lat później czytałem w niej swoje wiersze! Na samą myśl o tym do dziś ciarki chodzą mi po plecach...! Albo na cmentarz antokolski, na grób zastrzelonego przez swoich w 1944 roku poety Teodora Bujnickiego, lub do kościoła bazylianów pełnego rusztowań, przed którym leżała hałda żużla. Muszę zaznaczyć – mowa o pierwszym okresie naszych kontaktów, czyli latach 80.! – że wtedy nie istniała dzisiejsza komercja i organizacja życia pod turystów, jak dziś. Stare miasto było raczej zapuszczone, cmentarze podniszczone, zaś w kościele patrona Litwy, św. Kazimierza, istniało Muzeum Ateizmu.

Poeci wileńscy przyjeżdżali także do nas. Przede wszystkim ścigałem ich do Białegostoku, gdzie w KAW-ie planowałem wydać almanach poezji znad Wilii i Wilejki (zwanej Wilenką), lecz z czasem sami znaleźli drogę do Warszawy i innych ośrodków wydawniczych. Łatwo „się sprzedawali”, gdyż jako twórcy byli w kraju wygłodniałym wieści „z kresów” atrakcją samą w sobie.

Nierzadko odnajdowali po latach rodzinę, poszukiwały ich miasta, gdzie osiedlili się dawni kresowianie, zaczęto drukować ich tomiki; główne ośrodki tego ruchu prowileńskiego stanowiły Zielona Góra (Henryk Szylkin) i Warszawa (Romuald Karaś).

cdn.

Wiersze nagrodzone w Turnieju Jednego Wiersza podczas IX Zlotu Poetów w Łodzi

Grand Prix

Joanna Babiarz

Pierwszy raz

było pamiętne lato – po raz
pierwszy zobaczyłam to miasto
miałam wtedy jedenaście lat
czułam jak rosną mi piersi i mój wstyd
był większy od Pałacu Kultury

tych pierwszych razy było więcej
smak pańskiej skórki lemoniada
z saturatora łowienie ryb i łapanie
raków gołymi rękami

to było pamiętne lato – pierwsza
miesiączka i sama bez rodziców
w mieście dużo większym
niż moja samotność biegaliśmy
po ulicach zatopionych
w słońcu i powoli zapominałam
o swoim wstydzie tylko chłopcy
rzucali ciekawskie spojrzenia
potem kazali nam nazbierać
tłustych obrzydliwych robaków
a ten kto miał najwięcej
mógł potrzymać wędkę

– to też był mój pierwszy raz
gdy poczułam rwanie potem
nigdy więcej nie łowiłam ryb

teraz kiedy jestem starsza o pół wieku
odwiedzam to miasto łowię
spojrzenia przechodniów i pierwszy raz
jadę metrem

I miejsce

Joanna Guzik

Butelki

cztery kosze na odpady
jeden o nazwie zmieszane

w nim mieści się życie
straty nieopisane
owoce suszu z kompotu
a wystarczyło wyjść tyżeczką

gdyby rozdzielić na to
co ważne
co niewystarczające
zrobiłaby się przestrzeń
może zajrzałoby słońce

pomiędzy koszami
stara klatka
po starym chomiku

szklane butelki
zwrócone szyjką ku górze
wyjmą
wymyją
papier zamienią na książkę
tylko człowiekowi czasu nie dano
na drugie życie

II miejsce

Katarzyna Dąbecka

Utkane historie

czasami bliżej
przegląda
taśm pamięci intensywne chwile
kluczy wokół podmiejskich brzezin
w ostatnim dniu lata
wśród cegieł brudu
gdy rwie się monotonna etiuda biegnie
nieuchwytny
szybciej szybciej
przez myśli spiętrzone dzielnice
w historii odłożone statystyki
ambitne salto
przyptywów i odpływów
stapiają się powidoki
nachyla się
drzewo
karmi z okruchów ziaren niepokoję
tka się nić nadziei
coraz cieńsza
tli wątek zaledwie
płótno układa w postać
i staje się podobny
najbliższy
na chwil kilka zanim
wypłowieje człowiek

III miejsce

Agnieszka Jarzębowska

Dotyk

*(na marginesie wystawy obrazów
Ewy Galińskiej-Pisarkiewicz)*

Zapytaj Ewy – co mogą powiedzieć dłonie.
Ona ci wszystko namaluje.

Dłonie z filiżanką opowiedzą – kruchość.
Dłonie z dzbanem – pragnienie.
Dłonie z czereśniami – apetyt.
Dłonie z kwiatem lilii – niewinność.

Dłonie z szydełkową robótką – cierpliwość.
Dłonie z parą szpilek – zmęczenie po balu.
I jeszcze, i jeszcze, i jeszcze.
Wszystko, co trzymasz w dłoniach,
opowiada.

A kiedy już cię nie będzie,
rękawiczki opowiedzą nieobecność.

Wyróżnienie

Irena Tetlak

sztuczna inteligencja

na naszych oczach przekracza Rubikon
łamie bariery dźwięku ni stąd ni zowąd
na pole Grunwaldu do bitwy na miecze
stawia się z wojennej gry komputerowej

rozbijając szklane ekrany monitorów
do krwi odziera rzeczywistość
zdejmuje z niej skalpy przeszłości
tocząc walkę z napędem słonecznym

żywych operatorów zagania w kozi róg
wplata przyszłość w liany światłowodów
w niebie utkanym z szyfonowej nici
łączy krople deszczu na moment ataku

wojowników z innych galaktyk

Wyróżnienie

Renata Batko

nowy/nowe

poezja umierała powoli
chyliły się ku ziemi
wiotkie słowa skargi
niewypowiedziane
nie – zapisane
nie zapiszę!
cisza rozlana jak mleko
rozbieliła grobowce myśli
otuliła miękko bolesne
razy i urazy
stary dzień dogorywa
pali czerwienią promieni
płomieni ognistych
budzi się nowy...
nowe życie feniksa

Wyróżnienie

Zbigniew
Tlałka

Tkanina wspomnie

kawa ustami utkana
z rana
unoszą nas nad Sukiennicami
kogutem mistrza Twardowskiego
z piekarni na rynku w Kazimierzu
otoczonym wiankiem kamieniczek
na piazza w kształcie muszli
w Sienie płynącej przez Włochy
w łodzi z masztem campanilli
lub w długim kajaku
po wstędze Narwi w dostojnym
towarzystwie bocianów
o mglistym świcie
gdy zamyślane swym bytem krowy
idą po łące nad Bugiem
z której rozlega się głośny widok
na księżyc wychodzący właśnie
ze Świnicy ze świtą gwiazd
co błyszczą się ciekawie
w stawie niczym okna
w pomarańczowej zorzy Tuluzy
a chyża myszka życia ucieka
przed bystrym jastrzębiem czasu
na wskazówkach zegara
na Pradze i nawet
płaszcz morza w Gdańsku
nie przykryje tych ziaren
piasku z dni i godzin
utkanych w zakątkach
umysłu w chwili
pełnej wieczności
czarnej
kawy

Wojciech Łęcki

Powoli

Powoli wszyscy porośniemy korą
jak ryba łuską,
ucząc się milczenia
wody wielkiej i czystej.

Powoli odpłyną
karawany okrętów
i żadna mewa
nie okrzyknie łądu.

I czas kiedyś zamilknie
wierniej od kamieni,
nim pokryje ślady
zielonym rumieńcem.

* * *

Od jej imienia
zaczyna się mowa

A potem trzeba lat
byśmy zapomnieli
rozmawiać ze sobą

Wtedy cicha sprawczyni
codziennego stołu
wyczekuje w oknie
na uśmiech przechodnia

Jej oczy nie gasną
z ostatnim oddechem
choć była pierwsza
od pluszowego misia
i pierwsza w biedzie
od kochanki

Gdy nachodzi tęsknota
do tych rad
udzielanych szeptem
zwykle z jej parapetu
zwisają obce kwiaty

Widok ustronny

Odchodzą, których zdążymy pokochać.
Pozostali obnoszą swoją nieśmiertelność
niczym kapelusz z minionej epoki.
Uskrzydłają ich duchy przodków,
podpływające do brzegu sadzawki.

Niekochani zapominają o wyznaniach,
choć dzień w dzień drepczą do kościołów.
Mają we krwi, że w miasteczku trzeba
zabiegać o względy pokłóconych bogów.

Próbują oswoić okoliczne psy,
wścibskie sroki z sąsiedztwa,
wypłowiłe szczury z pobliskich baraków,
czekających latami na niewłóczną rozbiórkę...

Niekochani nie przepadają za sobą.
Znikają zwierzętom z oczu,

gdy połączy ich dokarmianie
tych samych łabędzi.

Ktoś

Ktoś szukał mnie wczoraj.
Przyszedł, pobudził ciekawość
i znikł, nie zostawiwszy śladu.
Ostatnie drżenie dzwonka
po raz kolejny opuści przedpokój,
zaskrzypi podeszwą na schodach,
muśnie dłońią wyślizganą poręcz...

W końcu miał tylu obok,
których nie musiał szukać.

Kiedyś minę go na ulicy
i nie pomyślałem, że to on
niósł mi być może nowe przeznaczenie.

Pewnie zapukał do kogo innego,
by obdarować go moim losem.
Nie wiem nawet, czyje zrządzenie
przymierzam od wczoraj.

Ten nikt zniknął
będzie równy bogu,
gdy nie odnajdę go w przyszłości,
która tu niepewna.

Próbowałem

Próbowałem dogonić swoje przeznaczenie,
ale czas zapadał we wszystkie szczeliny
niczym drobiny piasku zmiotane przez wiatr
z wysuszonych wydm mojego wybrzeża.

(Carawagio przynajmniej widział
unoszący nadzieje żaglowiec.
Którego podobno nie widział).

Biegłem wzdłuż osypującej się falezy
z glejtem na niespełnienie w rękę
niczym w przypiływie szaleństwa.

Jakaś korweta mocowała się z falą,
płynąc pod prąd mojej linii życia.

Dalej plaża otwierała pustynię.
Ponadczasowe diuny
pogrążyły się w beżowej zadymce,
przysypującej ostatni zachowany kościec
białego wieloryba świata.

Biegłem wzdłuż pustego wybrzeża...
Wicher smagał wiekopomnym piaskiem,
próbując mnie zniechęcić
do daremnej pogoni za czymś bezpowrotnym.

(Carawagio ścigał do upadłego
odpływający statek,
jakby mu zabierał niedokończone
arcydzieło).

Jestem malarzem pokojowym.
Moimi pociągnięciami pędzla
nie zachwyci się wieczność.
Muszą pozostać niewidoczne.

Wojna, pokój i wolność

(Dokończenie ze strony 4)

Samotność i alienacja stały się chorobami wieku na równi z nadkwasotą (efekt chemii), alergią (efekt higieny) czy depresją (efekt korpo – szeroko pojęty). Ten świat, co zespala nasze odległe wszechświaty jest wynaturzeniem rzeczywistości. Jest takim ponieważ zburzono już wszystko to, co można było zburzyć. Pozostały fantomy znaczeń i wartości, wszystko to, co ważne i istotne amputowano bądź zastąpiono algorytmem poprawnej politycznie półprawdy wygodnej w pojmowalności i obsłudze. Na tym ciężko coś wznosić i budować, można jedynie wspominać świetności minione, a ponieważ „wszystko już było” pojęcia podstawowe, elementarne – jak dla naszego przykładu sztuką nazywamy dziś coś, co tą sztuką już nie jest, a jest komercyjnym produktem, który się sprzedaje albo nie, a jeśli nie to wyłącza na śmietniku tej naszej hiper-rzeczywistości.

„Poezja mi wszystko wyjaśniła”? No cóż. Niczego mi nie wyjaśniła, ale już wiem, że mnie (też już dziadka) przynajmniej ocaliła. Ocaliła przed skundleniem, ocaliła przed samym sobą, przed pędem stadnym i przed nową wolnością dając mi w nadmiarze poczucie tamtej, minionej wolności, wolności twórczej, jako podstawy wszelkiej sztuki i wszelkiego zachwytu.

Owszem, sto lat temu, kiedy chciałem się narodzić, ale się nie narodziłem, bo ominęły mnie atrakcje XX wieku. Uczyłem się o nich tylko w szkole. W szkole, w której książka była wówczas czymś najważniejszym. Była **podstawowym dokumentem kulturowym społeczeństwa**. Wtedy wszystko wyjaśniały: miłość, sztuka, poezja i wymiar nadprzyrodzony, wszystko wyjaśniały: wiara, nadzieja i miłość, albo też poezja i dobroć. A dziś: po co to komu? Piękno? Ta niby kusząca alternatywa rzeczywistości. Dobro? To efekt uboczny nieprzystosowanych. Liczą się: pięć, moc i władza, emocje i ten ciągły teatr dla pokręconych, który pozwala komercji coraz lepiej funkcjonować w merkantylnym mikroświecie prawi- deł podaży i popytu. Nawet zasady ekonomii, studiowane na Uniwersytetach, było, nie było, przedefiniowano przesuwając wagę i znaczenie zysku z miejsc poślednich na miejsca zasadnicze i priorytetowe. Jak w takim świecie mają się odnaleźć: słowa, wrażliwość i jakiegokolwiek skrupuły? Świecie, w którym priorytetem jest zarobić za wszelką cenę, a na drugim miejscu zaszokować za cenę również wszelką. Potem długo, długo nic, a potem... to już bez znaczenia.

Powróćmy do wolności. Wolność? A cóż to takiego?

Może to jedynie nasz sen, sen o wolności, o wartości z minionego świata, wcale dziś nie cenionej i nie uznawanej za istotną, jedynie wypisaną na sztandary, aby lśniła ozdobą i

mirem mitu, który być może jeszcze nieźle się sprzedaje.

Długo myślałem nad tomem Józefa Barana „Pokój i wojna”. Arcydziełem literatury światowej była kiedyś tamta, przewspaniała „Wojna i pokój” Lwa Tołstoja. Podstawowy dokument kulturowy i tak dalej... Prowadzono nawet spory, co demonstrował Lew Tołstoj tym tytułem? a zwłaszcza owym mirem wielu znaczeń, zwłaszcza ówczesnej Rosji. Sądzę, że właśnie dziś, w XXI wieku otrzymaliśmy na to pełną odpowiedź – pełną zwłaszcza po 24 lutego 2022 kiedy rozpoznaliśmy od razu *russkij mir* chcący pożreć... wolność.

Jestem przekonany, że Józef Baran celowo zatytułował swój tom odwracając kolejność w tytule owego arcydzieła na swój „Pokój i wojna”. Ja jednak poszedłbym w poszukiwaniu wolności jeszcze dalej i zatytułował ten tom „Wojna”, choć to pewnie banalne. Wojna jest jednak dziś czymś czego nie zaznaliśmy, albo jedynie najstarsi z nas i to mało świadomie. Siedemdziesiąt siedem lat pokoju to szmat czasu. Wojna na wschodzie nie jest żadną wojną regionalną. Też banał. To wojna zamordyzmu z wolnością. Ważne są niuanse i konteksty. Zamordyzm głosił wcześniej obronę wartości, które Zachód w imię wolności przedefiniował i skierował nas ku miejscu, w którym dziś mentalnie jesteśmy. Zatem pandemia, wojna, eksperyment na społeczeństwie i co dalej? 1984? Orwel and Huxley 4.0 Pro?

Dobry tytuł... „Pokój i wojna”. Był pokój, jest wojna, ale u nas jest pokój, każdy zajęty sobą udaje, że wie, że jest wojna... pokój i wojna i co dalej? Dalej bussines as usual, słowem dzień jak co dzień, a wojna to jest w wiadomościach, aby się dobrze i masowo oglądało. Taki wojno poligon. Show must go on ... jak śpiewał Freddie Mercury. Dziadek z tamtego świata.

Dalej porozmawiamy o wolności, bo dziś to rozmowa podstawowa. Najważniejsza. Elementarna. Jeśli chcemy poznać odpowiedź na pytanie „co dalej” porozmawiamy o wolności – prawdziwie i szczerze. Jeśli jest to jeszcze możliwe.

Na szczęście

*wszystko przemija
na szczęście
śmierć też
nie jest
nieśmiertelna
prześwituje przez nią wszystko*

Dziś smutna sobota. Musieliśmy z Żoną podjąć decyzję uśpienia psa, naszego Stefana, który był z nami już 17 lat. To bardzo trudna decyzja, teraz pomimo, że jest nas tu wciąż tak wielu, jest jakaś pustka, jakiś brak, kogoś już więcej nie będzie... żegnaj Stefciu, byłeś słodkim psem, pozostaniesz w naszej pamięci. To wolność – mieć odwagę się wzruszyć. Wolność – potrafić się pożegnać. Wolność – odejść z godnością. Wiele jest smaków wolności.

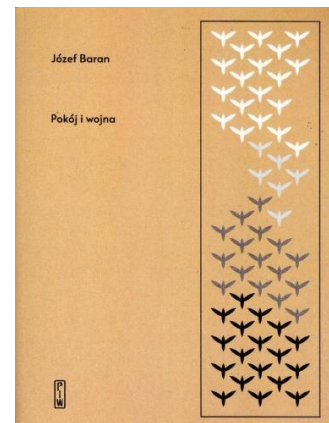
Tom Józefa Barana „Pokój i wojna” to nowe wiersze, piętnasty tom poety, jak mawiają „na salonach” cenionego poety. Profesor

Anna Legeżyńska napisała ostatnio: *...nie chciał nigdy być czymś uczniem, iść po śladach noblistów, awangardystów, lingwistów, klasyków (...) pozostał sobą, twórcą wierszy do czytania przez szeroki krąg odbiorców...*

Czy to jest wolność? Chyba tak, albo cóż to mogłoby być innego jak nie wolność, ta wolność twórcza. Pojawia się jednak i inne pytanie – kim są awangardysty i lingwiści? Skoro Józef Baran jest twórcą wierszy do czytania – to jakim twórcami są owi awangardysty i lingwiści? Wierszy nie do czytania? No, chyba logika konstrukcji zdania Pani Profesor mówi sama za siebie. Ja zadam na koniec i inne pytanie. Ile mamy dziś tych „wierszy nie do czytania”? Po co są one tworzone, pisane, publikowane? Dla kogo? Kto to lansuje, wpada w podziw i komu to służy? Mogę Wam na te pytania odpowiedzieć, ale przecież odpowiedź znacie. Czy to jest wolność? Czy jedynie snobizm salonów, albo tak naprawdę słabość tych salonów, które kompleksy zatykają nowatorstwem efemerydy – zbędnej i nikomu niepotrzebnej, lecz silnej swoją wydumaną niezrozumiałością i wtedy można lać do woli wodę słowotoku pseudointelektualnego wędząc w podobne kompleksy całe rzesze kolejnych nowych adeptów poezji niszcząc przez to samą poezję, jej społeczny odbiór, jej społeczną percepcję i jej image – jak się to dziś mówi. Przykre jest, że nikt nie odważa się (w swej wolności) krzyknąć jaka jest tego prawdziwa wartość i jakie jest tego przesłanie. No cóż. Wróćmy do wolności.

Nie wiem czy ciekawe jest to co piszę o wolności. Wiem, że wolność to słowo i pojęcie najważniejsze. Wolność to przede wszystkim odwaga. To moc stanięcia naprzeciw przeważającej sile wroga i bronięcia prawdy. To niezależność, to bycie pełni nadziei, to wreszcie stan euforii tworzenia dla samego tworzenia, a nie dla kogokolwiek. To wyjście poza samego siebie i może dlatego wolność to największa wartość jaką znam i jaką zna cała ludzkość. Jeśli będziecie prawdziwie wolni na pewno rześko spojrzycie w przyszłość, ceniąc, że to kondensacja przeszłości, teraźniejszości i wciąż fascynującego oczekiwania na nieznaną. Ono jest fascynujące jedynie wtedy kiedy towarzyszy mu zachwyt, a zachwyt posiada się wtedy kiedy odróżniamy piękno od brzydoty. Kiedy zabiorą nam wstyd, cóż nam pozostanie?

Andrzej Walter



Stefan Michał Żarów*

Ireneusz Niekowal (1976–2010)

– poeta przerwanej pieśni

Odejście poety w młodym wieku w czasie dynamicznego wchodzenia na piedestał liryki jest pytaniem o pozostawiony dorobek literacki. **Ireneusz Niekowal – Max Jasiński**, pozostawił po sobie niekwestionowaną spuściznę poetycką o szerokim wachlarzu tematycznym w rękach o nieograniczonej głębi. Posiadał on niezwykle dar odczuwania wielorakiej otaczającej nas różnorodności. Muzy poezji obdarzyły jego wyobraźnię niezwyklej spostrzeganiem codziennych zdarzeń. W okresie nader krótkiej drogi twórczej wypracował indywidualny, rozpoznawalny przekaz poetycki.

Ireneusz Niekowal jako poeta debiutował 14 czerwca 2007 roku w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie w Podkarpackiej Izbie Poezji, czyli po formalnym wstąpieniu do Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie. Stowarzyszenie, które nieprzerwanie działa od 1980 roku w WDK w Rzeszowie posiada niezwykle cenną cechę wyławiania utalentowanych osób, którzy po kilku latach już z ugruntowanym dorobkiem literackim zostają członkami Związku Literatów Polskich lub indywidualnie kontynuują swoją działalność i są rozpoznawalni nie tylko środowisku podkarpackim. Zapewne taka byłaby dalsza droga twórcza Niekowala, gdyby nie nagłe odejście w dniu 7 lipca 2010 roku na drugą stronę, jak powiedział w mowie pożegnalnej inny członek Stowarzyszenia Zygmunt Kiełbowicz: *Drogi Ireneuszu. Spotykaliśmy się razem co miesiąc, by mówić i przedstawiać wszystko to, co zrobiliśmy dla dobra kultury. Ty pisałeś i czytałeś nam swoje wiersze. Myśmy Ciebie pytali, dlaczego napisałeś ten utwór. A Ty odpowiadałeś. Myśmy Ciebie podziwiali, a także zastanawialiśmy się skąd bierzysz tyle pomysłów i ujmujesz tak wiele treści i tak dużo różnorodności. Dziś wiemy, że już do nas nie przyjedziesz. Będzie nam Ciebie brakowało. Twoja śmierć uczyniła wielką wyrwę w serii naszych spotkań. Odszedłeś za wcześnie (...) W takiej chwili tragicznej jak ta zastanawiam się czy Twoja śmierć rozwiązała wszystkie problemy, które Ciebie dręczyły i czy ukołła ból Twojej wrażliwej duszy (...) Jestem przekonany, że nadal tam na niebiańskich niwach będziesz robił to samo. Dziękuję Ci Ireneuszu, że żyjąc miałeś wyznaczony cel – pisałeś wiersze, zajmowałeś się literaturą.*

Jak nadal są aktualne te słowa doświadczamy teraz po latach fizycznej nieobecności poety, który pozostawił po sobie dorobek literacki w postaci trzech wydanych drukiem tomików poetyckich: *Pamiętnika Małego Księcia* (2007), *Skaza* i *Rozmowy* (2008), był również

autorem eseju *Książę poetów: krótkie, subiektywne rozważania o poezji Zbigniewa Herberta. Oraz ogólnie o świecie i człowieku* (2009), oraz szkicu literackiego *Sacrum i profanum: polskie symbole w dwóch esejach...* (2009). Już same tytuły sugerują, że autora w niezwyklej sposób pasjonował literacki świat *Małego Księcia*, *Hamleta*, *Braci Karamazow* i *Pana Cogito*. Ten obszar literatury był bliski jego warsztatowi uprawiania poezji. Cokolwiek działo się w nurcie życia to ubierał to wydarzenie, fakt, preludium barw wiersza. Potocznie człowiek odczucia oddaje słowem i gestem. Niekowal to samo przekazywał wierszem, opisując dokładniej i więcej, ale uwaga w przypadku tej poezji z pozoru lakonicznej. Ta cecha stała się wyznacznikiem autora „Skazy” gdzie słowo „skaza” jest budowaniem świata bez skazy. Marzenie o szczęściu stało się przesłaniem poety dla nas Ziemi. Bo trzeba wznieść się ponad jej materię w Kosmos okrążyć Ziemię by dostrzec i zobaczyć wszędzie wielkie szczęście. W Takich utworach, jak *Cmentarzysko*, *Fortepian Rachmaninowa*, *Ocalony* i zacytowana poniżej *Szaruga* dokonał ilustracji – jak ludzie ludziom zbudowali los to właśnie jest skazą człowieka.

Spleen angielskiej pogody / deszczowej / mglistej/apatycznej / przygnębiającej / melancholijnej // może wyolbrzymiony / zwłaszcza w sytuacji / nieznanym Zjednoczonego Królestwa // po którego ziemi / nie chodzi poeta // więc Czemu wierzyć / i wpędzać się w dołek // nie przekonawszy się / na własne oczy / jak jest naprawdę // pomińmy Wielkich / Audena / Eliota / całą plejadę // czy poeta / może dobrze / opisać ukochaną / jałową Ziemię Wyobraźni // bez dotknięcia zmysłami / Błogostawionej Muzy / drugiej Beatrice // wyszukanej w sieci.

Poezja Ireneusza Niekowala jest wyjątkowo frapująca i doskonale wpisuje się w słowa Czesława Miłosza z tomu „Wierszy ostatni” (...) *My jesteśmy zaledwie igraszką / Sił tajemnych, nieznanym nikomu.* Emanuje spojrzeniem na sprawy człowiecze jak by z ponad Ziemi – poety, który odczuwając bardzo głęboko i wszechstronnie potrafił jednocześnie, pisząc, wyizolować od nacierającej na niego presji codzienności jej skazę – komercjalizację i narastającą zniechęć postępu oraz nieograniczonej przyjemności posiadania, przedmiotowości w miejsce podmiotowości u współczesnych ludzi, którą w wierszu symbolizuje „Beatrice, wyszukana w Sieci”...

W innym wierszu pt. „Krzyżowcy” pisał: *Do Ziemi Świętej krzyżowcy jechali // na wierzchowcach w pancerzach żelaza // ziemia dudniła pod ciężarem galopu / zwiewne chusty i rycerskie proporce // trzepotały żądzami bo-*

gactwa i sławy // niektórzy co przedności rodem jeźdźcy // mieli też miecze z damasceńskiej stali / nieznanym zmęczeni w zabijaniu // (...) zwracając wzrok stalowy ku niebu i ziemi / znak krzyża czynili mieczem w imię Wiary // strącającej z rycerskiego piedestału honoru / chrześcijańskie wartości pożerały złote bożki (...).

Jako historykowi nieobce były zdarzenia mające istotne znaczenie dla dziejów cywilizacji. Na tyle ważne, że wpływały na bieg historii. W wierszu „Mały książę” ujął to w sposób szczególnie: *Ogród Małego Księcia musi być plewiony / Ale róże które pielęgnował // Dawnego koloru nieodzyskany / Koloru rozżarzonego fenicką purpurą // Dziś ten chłopiec jest dorosły / ma w sobie dziwny niepokój // i mimo upływu lat minionych / zachował obraz Medalionów.*

W życiu każdego z nas są chwile zadumy – refleksji i jest taki dzień, w którym modlimy się za dusze, ludzkie szczególnie, to dzień zadumy nad życiem, naszym istnieniem, dzień pamięci o tych, co już odeszli – Dzień Zaduszny. Taki wiersz zawiera tom poezji „Skaza” pt. Requiem: *Pełna łez opłakana żałobna Lacrimosa // panie zmiłuj się // Kyrie eleison // nadchodzi Dzień gniewu / Des irae // Dobrzy ludzie mogą spać spokojnie / przed Sądem Ostatecznym // msza święta za zmarłych / nieukończona przez Mozarta // niewątpliwie // dopięta na ostatnią nutę / przez Kogoś // kto został Mozartem / w Requiem.*

Motyw ten zwiera również tytułowa „Lacrimosa”: *Codzienna pełna łez wieczorna modlitwa / nie oczyszczała żrenic słonymi kroplami // wieńce położone na usypanym kurhanie / zastoniły bruzdowatą ropiejącą ziemię // liście kwiaty cmentarne tuje więdły w oczach / pręciki kwiatów były niemo o kielichy dzwonów // przez miesiąc werble nie dawały zasnąć / a głosy małych aniołów śpiewających Requiem // zaciskały błękitne pętle na szyjach oprawców / wykorzystujących śmierć do własnych celów.*

Istotną cechą tej poezji jest głęboka wrażliwość na otoczenie i proces codziennych relacji międzyludzkich. Twórczość ta nacechowana jest również symboliczną sumą odniesień do faktów historycznych przetransponowanych do współczesności. Dylematów nadal aktualnych pomimo upływu czasu, wynikających z niezbywalnych cech natury człowieka z odwiecznym egzystencjalnym pytaniem co po nas pozostanie, skoro w jednej chwili, w wyniku kataklizmu, można stracić dorobek całego życia, indywidualny, a nawet całych pokoleń. Niewątpliwie pozostanie poezja, tak jak pozostała spuścizna twórcza Ireneusza Niekowala.

(Dokończenie na stronie 10)

Ireneusz Niekowal (1976–2010) – poeta przerwa- nej pieśni

(Dokończenie ze strony 9)

Jest to poezja bogata w swej treści, prze-myślana i atrakcyjnie podana bez tłoczenia wniosków i morałów – pozostawiająca czytelnikowi wolność myśli. Słowa tych wierszy same stają się naszymi wnioskami. Znajdziemy tu filozoficzne widzenie świata kryjące się pod myślą przewodnią autora, która jest ukierunkowana mottem „Świat nie jest Jedynym pięknym obrazem, dlatego piszę”. Poetyckie predyspozycje mogą być dla piszącego niezwykle darem losu, przeznaczeniem, spełnieniem. Tkwi w tym niekiedy, co wiemy z biografii wielu pisarzy tragiczny los, oddziaływanie sił niezależnych od jednostki. Puentuje ponownym odwołaniem się do naszego noblisty Miłosza, który wierszu *Sprawozdanie* ujął to zagadnienie wyjątkowo trafnie: *O Najwyższy, zechciałeś mnie stworzyć poetą, / i teraz pora, żebym złożył sprawozdanie*. Bo przeznaczenie poety tkwi w nim wewnętrznie i emanuje w postaci strof.

Zasadniczo!

Bibliografia:

Kultura i pieśń. *Informator Kulturalno-Społeczny Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie* Nr 1/2007; 2/2008; 4/2008; 3/2010.

Nasz Dom Rzeszów, *Miesięcznik Społeczno-Kulturalny* Nr 38/2008; 45/2009; 59/2010.

Nadwiślocze, *Miesięcznik Społeczno-Kulturalny* Nr 4/2007; 3/2008.

Przestrzenie Wyobraźni Almanach Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie i Środowisk Twórczych Podkarpacia, Rzeszów 2015.

Czesław Miłosz. *Wiersze ostatnie*, SIW Znak, Kraków 2006.

Zbiory własne autora.

*Autor artykułu to między innymi były długoletni wiceprezes Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie.



Woda, ogień, prąd

Znów jest w Zakopanem, które skradło jego serce jak żadne inne miejsce, jakie zdarzyło mu się zobaczyć, nawet polubić. Zakopane to była miłość prawdziwa – szczerą i trwałą.

Który to już raz gości w zakopiańskiej „Astorii”, Domu Pracy Twórczej Literatów, gdzie spotykają się sławni i mniej sławni pisarze. Pamięta, gdy kiedyś niechący podsłuchał rozmowę dwu znanych i uznanych pisarzy: poety i prozaika. Zwykła zdawało się pogawędka, rozpoczęta zrazu od zwyczajnych pytań i odpowiedzi przekształcać się zaczęła w dwa niezależnie płynące monologi. Uwolnione od przymusu wyjaśnień i ripost – jak odrębne, rwące górskie potoki, które niosą twarde, duże i małe słowa, odbijały się od kontrargumentów rozmówcy i rozpoczynały swój własnowolny byt w świecie równoległym.

Ze wzruszeniem przypomniał inne zdarzenie: to przecież tu Wisława Szymborska 1 października 1996 roku dowiedziała się o przyznaniu jej Nagrody Nobla. Lubiła Zakopane, bywała zarówno w „Astorii”, jak i „Halamie”. Miał szczęście wcześniej spotkać się z Poetką w Opolu, w 1971 roku, na seminarium literackim z jej udziałem, zorganizowanym przez młodych opolskich twórców i nauczycieli z terenu Opolszczyzny. Już wtedy jej dorobek był znaczący, a jego, młodego twórcę, fascynowała głównie aktualność jej poezji, która dotyczyła spraw głęboko zajmujących młodych piszących, skupionych w Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy w Opolu – żywotnych dla współczesnego świata i uwikłanego weń człowieka. Chłonał głęboką refleksyjność, mądrość tej poezji, a przy tym zaskakującą prostotę i precyzję słowa. W tych wierszach nie znać piętna wysiłku, żadnego przymusu twórczego, imperatywu, a wręcz przeciwnie – daje się odczuć „Radość pisania”. Po latach napisał dla niej tryptyk limeryczny:

1. Szymborska na chmurce pisze wiersz
liryczny
dymkiem z papierosa, żeby był magiczny.
Przy tym mruga do kamery,
że to raczej jest limeryk,
do tego szalony, bo tragikomiczny.

2. Wygodnie Wisławie na tej chmurce małej.
Jest, choć tak niewielka, jej królestwem całym,
blaskiem słońca okolonym,
snem księżycy posrebrzonym,
gdzie na wywiad się wprasza jedynie
wiatr-śmiałek.

3. Noblistka odmawia bliższych komentarzy
do czasu, co minął i jaki się zdarzy.
Puszcza z dymkiem papierosa
zapytania koło nosa.
Wszystko, co ustalono, akceptując – podważa.

– Wszystko, co mamy, a głównie wodę, zawdzięczamy gwiazdom. Pył międzygwiezdny, przechodząc przez ziemską atmosferę, wchodzi w reakcję z cząsteczkami tlenu i na skutek zawiłych, znanych tylko naukowcom i opisywanych przez nich zmian, ruchów – powstaje woda. Pył kosmiczny i woda to najważniejsze czynniki dla powstania życia, które może powstać, choć wcale nie musi.

Wygłosiwszy powyższe mądrości, Poeta popatrzył zadowolony na swojego rozmówcę. Hasior skierował na gościa przenikliwy wzrok. W jego oczach widoczny był ogień.

– Ogień... – wielki artysta zamyślił się, pociągnął łyk herbatki „z prądem” i kontynuował – ogień jest materią maksymalnie uruchamiającą wyobraźnię.

Siedzieli w przestronnej, wielopoziomowej galerii – pracowni artysty, którego cały świat, i naturalnie on, Poeta również, podziwiał od dawna. Zawsze gdy przyjeżdżał do Zakopanego, kierował kroki właśnie do tego wybitnego twórcy, którego dzieła poruszały go, ponieważ – co wcale nie zdarzało się tak często – były uniwersalne i zmuszały do zastanowienia nad światem i miejscem w nim współczesnej sztuki. Tak, jego wyobraźnia jest niekontrolowana – jak ogień. Znalazły się w tej przestrzennej galerii sławne *Płonące sztandary ze snów* o „błękitnych nadziejach” – jakże łopotąły żarliwie, wznicięciem niepokój.

„Wciąż widzę Twe Płonące drzewo –
nie z łuny zachodzącego słońca,
lecz z gołgoty strwożonej wyobraźni”.

Po latach, zda się, wszystko, co mówił Hasior w czas niezwykłych u niego odwiedzin, zapadało w pamięć i w niej pozostawało. Przyciągał inne znakomitości jak magnes. Żył sztuką, stałe były tam obecni współcześni artyści, którym umożliwiał prezentacje ich prac w swojej przestronnej galerii – malarze, rzeźbiarze, fotograficy, także literaci.

Poeta często powracał pamięcią do tej zadziwiającej zakopiańskiej pracowni, gdzie ekran wybuchał wizjami z wędrowek płonących gwarem miast. A on każdy slajd, jaki prezentował gościowi, brał w dłoń niczym skarb. Wprowadzał go w swoją przestrzeń – bliską estetyce Boscha i Bruegla – piękną i zarazem naznaczoną jakąś brzydotą, potwornością, gdzie świat rzeczywisty przenikał w metaforyczny zaświat, tworząc przy pomocy zwykłych przedmiotów, często wręcz rupieci, unikatowe, nowe znaczenia.

„Nawet druty, sprężyny, łańcuchy
z rupieciarni-wysypisk codzienności
splatały się w domyślne kształty,
walcząc o każdy flesz oka
z treflącymi się manekinami”.

Poeta chodził wśród niewiarygodnych eksponatów, jakie w rękach tego wyjątkowego artysty nabrały nowych znaczeń. Żadna rzecz – przyszło mu na myśl – nie jest tu tym, czym w istocie jest, ale tym, do czego ją powołała jego nieokiełznana, szalona wyobraźnia.

„Pod dygocącymi od lęku moimi współprzymkniętymi powiekami tli się wciąż – zadziwiony pięknem grozy – nieostygły w bezradnej trwodze cierpki dreszcz Twej hipnotycznej magii”.

Ten wiersz napisał Poeta w 2013 roku, w 85-lecie urodzin Władysława Hasióra. I chociaż nie było Go już od 14 lat – wciąż czuło się – odwiedzając jego galerię – tę wielką, magiczną aurę intrygującego artysty i niezwykłego człowieka. I wspominało się z przymrużeniem oka nieodżałowaną herbatkę „z prądem”.

Irena Nyczej

W opowiadaniu wykorzystane zostały fragmenty wiersza Stanisława Nyczeja *Żarliwy niepokój* dedykowanego pamięci Władysława Hasióra oraz *Tryptyk limeryczny* dla Wisławy Szymborskiej.



Pierwsza wojna polsko-indiańska

W czasach, kiedy prawie już zapomniano o „El Cóndor Pasa” w wykonaniu duetu „Simon and Garfunkel”, a miejsce młodzieżowej literatury przygodowo-podróżniczej zaczęły zajmować powoli nowo odkryte powieści, nagle peruwiańska ballada za sprawą zespołu Varsovia Manta stała się jednym z songów kojarzonych z subkulturowym buntem, ale także niezwykłym tłem dla fascynującej lektury książek Gabriela Garcíi Márqueza i Julio Cortáзара. Jednak selwa, pampa, płaskowyż, Andy i wioski, po których piaskiem co rusz zawiewa wiatr, po latach zniknęły za horyzontem wyobraźni i pamięci. Czasami obrazy z Ameryki Łacińskiej i jej historię przywraca nowe wydanie Mario Vargasa Llosy, pojawienie się kolejnej powieści Roberto Bolaño czy seria „Las Américas – Nieznana Klasika Literatury Latynoskiej”. Ale dzieje się tak tylko przez chwilę, ot, kilkudniowa, choć wstrząsająca i paraliżująca, podróż do jednego czy dwóch miejsc, do kilku zdarzeń, pewnych ważnych lat w dziejach splecionych w literackich wątkach. To nie jest zatem wieloletnia podróż po Ameryce Łacińskiej, zanurzenie się w niej tak mocno i głęboko, żeby poczuć piasek i kamienie pod stopami, pot spływający po plecach i widzieć kątem oka przechadzające się obok wielkie cykady. Żeby stało się odwrotnie, należy przystanąć, zapatrzyć się, zamieszkać, zapamiętać, przeżyć historię, zboczyć ze szlaku podręcznika i na nowo przeczytać. I ten ogromny kontynent, i wywodzących się stamtąd wielkich pisarzy. Potrzebny jest jakiś prolog, wstęp czy może przewodnik, który niekoniecznie będzie chciał opowiadać o Machu Picchu, Cuzco, Tenochtitlán i

Palenque. Tak, wspomni, wymieni, odeśle do bibliografii i skieruje uwagę w całkiem innej stronie. Te, które przemierza od trzydziestu pięciu lat, mając tam wielu znajomych i przyjaciół, od przygodnych kierowców po sławnych naukowców, ulubione pensjonaty i hotele, z których uciekał z poczuciem obrzydzenia, szczyty, na które wspiął się podczas ostatniej podróży, rzeki, które działały na niego jak koka albo ayahuasca.

Roman Warszewski lubi przystawać w pół drogi. W „Pierwszej wojnie polsko-indiańskiej” robi to dwadzieścia dziewięć razy. Owe przerwy wynikają albo z przygotowań do nadzwyczajnej, trudnej, fascynującej wyprawy, albo ze spotkań z historią, która zaczęła się kilka tysięcy lat temu, gdzieś pod piramidą wyglądającą dziś jak pagórek o zbyt regularnym kształcie, albo w końcu z zaplanowanych bądź całkiem przygodnych rozmów z ludźmi. Oczywiście wszystkie te opowieści, wydarzenia i spotkania nawzajem się przenikają, wynikają jedno z drugiego, są i przyczyną, i skutkiem, w zależności od tego, jak toczy się podróż samego autora.

Autor nie przedstawia czytelnikowi jednej własnej podróży po Ameryce Łacińskiej. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że książka stanowi wyselekcjonowany zbiór esejów, opisujących nie tyle najciekawsze miejsca kontynentu, ale kompendium wyjątkowych przeżyć podróżnika, w trakcie których w jakiś niezwykle sposób pobudziła go historia, człowiek lub zdarzenie. A wokół nich narosły opowieści z mnóstwem dygresji, wspomnień, przemyśleń i ekscytacji. Czytelnik nie znajdzie w książce poukładanych historycznie wydarzeń ani z podróży autora, ani dziejów Ameryki Łacińskiej. Nie ma tutaj wyraźnego szlaku, po którym porusza się podróżnik, nie da się go wyznaczyć na mapie. Każdy z kolejnych rozdziałów jest niespodzianką, tajemnicą. Podobnie jak kontynent, na którym tajemnica czai się za zakrętem rzeki, załomem skalnym, na ścieżce wyciętej w dżungli, czy w spotkanym człowieku. Opowieści zdają się być obrazami Ameryki Południowej, pojawiającymi się, gdy człowiek-orzeł krąży nad ziemią głową w dół, przewiązany w pasie długim, mocnym powrozem, który zastępuje pasek, zataczając coraz szersze, coraz powolniejsze, coraz bardziej dostojne kregi. „Ludzie chcą wiedzieć, jak było tam na górze i co stamtąd widzieli...” [1]. Roman Warszewski też chce wiedzieć, ba! on chce wiedzieć!

Pisarz-podróżnik rozpościera wielką mapę kontynentu albo otwiera powoli kolejne karty atlasu. Poszczególne miejsca zaznaczone są przez odkrycia archeologiczne, konkwistę, dwudziestowieczną emigrację z Europy, dwudziestowieczny terroryzm, indiańskie plemiona stroniące od cywilizacji, wioski bez prądu i doprowadzonych dróg, najwyższe szczyty Andów, ślady największych kultur Ameryki Południowej i Środkowej, pisarzy tutaj urodzonych albo tworzących na kontynencie, znajomych spotykanych podczas wieloletnich podróży autora i osób, które tylko zagościły w życiu Romana Warszewskiego, anonimowych i znanych z imienia.

Opowieści zawarte w „Pierwszej wojnie polsko-indiańskiej” przypominają trochę baj-

ki. Morał z nich płynący bywa czasami głęboko ukryty, niejasny, osnuty tajemnicami, wymagający od czytelnika wysiłku, swojego rodzaju walki ze zdziwieniem w trakcie odkrywania meandrów Ameryki Łacińskiej. Innym razem pojawia się już w trakcie opowiedzianej historii, bądź jest nieodłącznym towarzyszem podróży samego pisarza. Bywa też ich kilka, ponieważ Warszewski często snuje jednocześnie wiele opowiadań. Wyprawa pisarza nagle potrafi zmienić bohatera i wokół niego toczyć fabułę czy wątek. Wówczas dygresje zamieniają się z nimi miejscami. Owe puenty, prawie sentencje, konkluzje i refleksje tworzą przed czytelnikiem niezwykle szczegółowy obraz kontynentu, choć wydaje się z pozoru bardzo poszarpany, jakby w kawałkach. Często niezwykle smutnych i krwawych.

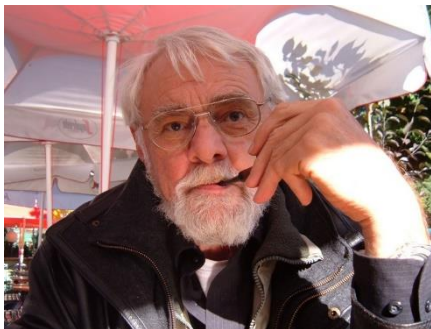
Wydaje się, że autor specjalnie odrzuca i omija powszechnie znane trasy wycieczek, wiadomości z przewodników turystycznych. Chyba tylko trzykrotnie poświęca swój czas, żeby odwiedzić takie okolice. Dwukrotnie pojawia się na literackim terytorium. Odwiedza wybrzeże, szukając w Callao baru „Katedra” Maria Vargasa Llosy. Zaczepia przechodniów, rozpytuje, w końcu otrzymuje instrukcje i krąży taksówką po placach i odbiegających od nich ciasnych uliczkach, w których kierowca boi się wysiąść z samochodu. „Katedrę” pokazuje palcem miejscowy: „Został zlikwidowany. Był tam na rogu. Wiele razy spotykałem się tam z przyjaciółmi i piłem piwo. Teraz jest tam parking” [2]. Za drugim razem jest w Hawanie. Pieniądze otwierają kłódkę, odwijają łańcuch. Jednak strach przewodnika jest tak ogromny, że Finca Vigía tonie w ciemnościach, a zadośćuczynieniem za nie, bezpłatnym, jest chwila, której nie doświadczy nikt ze zwiedzających obecne muzeum: „- Jak chcesz, możesz jeszcze usiąść przy biurku, przy którym pisał listy. Bez dopłaty. Na nic innego nie ma już czasu” [3]. Ostatnia wyprawa, której cel jest znany nawet niespecjalnie zainteresowanemu Ameryką Łacińską czytelnikowi, dotyczy płaskowyżu Nazca. Ależ nie, Warszewski poprawia wielokrotnie, Nazca to równina. Do rysunków czytelnik dociera dopiero przez opowieść o Paulu Kosoku i Marii Reiche. Tam zatrzymuje się przy Erichu von Dänikenie i wysłuchuje rozmowy pisarza z Jorge o lataniu.

A potem zostają już tylko najwyższe szczyty, kultury sprzed pięciu tysięcy lat, petroglify, do których trzeba się przedrzeć selwą lub dostać po rzecznej mieliźnie najpłytszą z łódek, konkwistadorzy, demony w jeszcze niedawno niedostępnych górskich wioskach, Polacy karczujący lasy, Che Guevara i Świetlisty Szlak.

Peru sprzed blisko pięciu tysięcy lat to miejski ośrodek, położony ćwierć tysiąca kilometrów na północ od Limy. To tam późniejsza profesor na Uniwersytecie San Marcos w stolicy Peru konfrontuje się z mizoginizmem na gruncie odkryć archeologicznych, a opowieść o najstarszych piramidach w Ameryce Południowej przeradza się w historię peruwiańskich walk o koncesje na badania naukowe.

(Dokończenie na stronie 18)

Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Obrona rozumu, nie głupoty

*Nie lij descu, nie lij,
Bo cie tu nie trzeba.
Obejdź góry, lasy,
Obejdź góry, lasy,
Obejdź góry, lasy,
Zawróćże do nieba...*

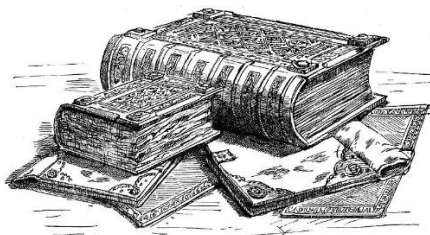
Oj, panocku, górole jus nie bydo śpiwać onej piosnecki, bo to jakoś brakuje onej wody na ziemskim padole. A i u nas tez. Cóż, zajmujemy w tej Unii jedno z ostatnich miejsc, a z każdym rokiem dzieje się coraz gorzej w tym względzie. Widzisz, panocku, tyle godają, konferencje niby udane, tyle ze kasą niedogotowaną. Jedno jest pewne, że nie należy bagatelizować problemu z wodą, zwłaszcza że przed wyborami coraz więcej używają jej politycy, sięgając przy okazji do najbardziej płynnych technik komunikacji międzyludzkiej.

Kazimierz Ivosse

Woda, woda... oto coraz częściej z kalendarza spadają mokre kartki. Mamy lepkie od rześkiego potu sny o tym, co będzie jutro, kiedy zacznie lać z dziurawego nieba i coraz częściej walić gradem wielkości bejsbolowych piłek. A przecież takie kule mogą zniszczyć nawet zasady naszego świata, w których przyszło nam żyć. Wyczuwa się w polityce obrony życiodajnej natury filozofię „róbta co chceta”. Dziwna to filozofia rozumu niwecząca ten nasz zbiorowy obowiązek obrony świata i wartości związanych z ocaleniem go od głady. Ongiś w obronie rozumu Gilbert Keith Chesterton napisał aktualne po dziś dzień eseje, zamieszczając je w książce „Obrona rozumu”. W dobie natarczywych działań ideologicznych szaleńców warto do tej słynnej publikacji wrócić, gdyż po dziś dzień nie stracił na znaczeniu. Działania możliwych tego świata prowadzą niestety donikąd. Jest to wynikiem słabości emocji związanych z kompletnym uwiązaniem szarych komórek. Prowadzi to już

od dłuższego czasu do zniszczenia systematycznego podstaw oraz zasad naszego świata, w tej mierze też wartości chrześcijańskich. Obrona rozumu...

Cóż, przed nami coś, co dopiero nadejdzie, rzecz w tym, aby nieskutecznie. Ekologiczna katastrofa poda nam rękę, ale też podstawi nogę. Czy czeka nas rzeczywiście smutny koniec? Z analizami tego stanu rzeczy mamy kłopot. Pragnąłbym w miarę obiektywnie tłumaczyć ten świat i to, na co się na nim zanosi. Często stykamy się z tłumaczeniem świata w formie ideologicznego fanatyzmu, prognozowanie zaś i analizy zastępowane są emocjami, często myśleniem życzeniowym. Należy pozbyć się emocji, a współtworzyć profesjonalny, trzeźwy i logiczny ogląd czekającej nas rzeczywistości. Oczywiście bez tego morza propagandy straszenia i manipulacji wokół dziejących się anomalii pogodowych. Ekolodzy zachowują się w tej rzeczywistości jakby żyli w świecie na opak, zachowując się jak rozpieszczone dzieci. Tupią nogami, przylepiają się do asfaltu jezdni. Wrzeszczą i plują na wszystko. Ich wściekłość tylko śmieszy. Czasami trudne są wybory pomiędzy dewiacją a normą. Niestety, ale także w polityce ekologicznej. Czas zatem zacząć od nowa z tą polityką i to w każdym kraju.



Uczyć się od mistrzów, czyli jak Majewski z Majewskim

Co jakiś czas, zawsze po 23.00 dzwonię do Janusza Majewskiego, tak zwyczajnie pogadać sobie jak Majewski z Majewskim. „Majewski Majewskiemu”, z taką właśnie dedykacją otrzymałem książkę pt. „Czarny Mercedes” od Pana Janusza.

Jak to się w ogóle zaczęło?

Kilkanaście lat wcześniej poznałem Wiktora Zborowskiego z którym umówiłem się na spotkanie w kawiarence Domu Muzyki i Tańca w Zabrze, na którego to deskach Krystyna Janda wystawiała swoją „Boską” przy pełnej widowni rzecz jasna.

Gdy tylko wszedłem do kawiarenki zobaczyłem Wiktora samotnie siedzącego przy stoliku, pykającego sobie fajkę, gdy mnie zauważył, powstał, a ja z niedowierzaniem

podnosiłem wzrok, jakbym obserwował Empire State Building w Nowym Jorku. Witając się z Wiktorem poczułem się przy swoich 176 centymetrach wzrostu niesamowicie niski. Szybko przeszliśmy na ty, pogadaliśmy trochę o polityce, trochę o teatrze, mój syn strzelił nam fotkę, po czym Wiktor musiał uciekać do garderoby. Spektakl się opóźnił jakieś 25 minut, ale zapewne ja nie byłem tego przyczyną. Spektakl był świetny, a oklaskom na stojąco nie było końca.

No i ruszyła zasada domina, niemiary na Janusza Majewskiego dostałem właśnie od Wiktora Zborowskiego, który uprzedził pana Janusza, że zadzwoni do niego facet z prośbą o wywiad. I to facet zupełnie nieznan, a jego jedynym atrybutem jest to, że nosi nazwisko... Majewski. I to, ku mojej niezmiernej radości zupełnie wystarczyło. Pierwszy wywiad, którego mi udzielił był, co bardzo sobie cenię, dla „Gazety Kulturalnej”, na której to łamach stawiłem swoje pierwsze kroki.

Mijały lata, pisałem tu i ówdzie, czasem udało mi się zgarnąć jakąś nagrodę w poetyckim konkursie, ku radości mojego mentora Leszka Żulińskiego. Doszło nawet do tego, że zostałem stałym współpracownikiem kwartalnika literackiego, miej więcej w tym samym czasie zachorowałem bardzo poważnie na raka (o czym sporo napisałem). W trakcie leczenia zadzwoniłem ponownie do Janusza Majewskiego z prośbą o kolejny wywiad. Pan Janusz wyraził zgodę, a nasze rozmowy zaczęły zamieniać się w pogaduchy, z jednej strony legendy polskiego kina z trzecioligowym pisarzem ocierającym się o śmierć, co spowodowało że Pan Janusz pocieszał mnie jak tylko mógł, i wręcz zachęcał mnie, aby dzwonić ot tak, aby sobie pogadać, aby podzielić się ze mną swoją witalnością, życiową energią, która we mnie się ledwie tliła. Pozwolę sobie przytoczyć słowa Pana Janusza (lekkko je parafrazując, gdyż pamięć jest zawodna): Panie Mirku, nie ma sprawy! Będziemy rozmawiali, ile Pan chce. Od pierwszej rozmowy mam zaufanie do Pana, dlatego przystaję na to bez przymusu, w odróżnieniu od rozmaitych nudziarzy lub idiotek, którzy mnie wkurwiają. Więc bez obaw, zawsze po 23.00 jest OK, a gdyby coś kiedyś przeszkadzało, od razu powiem. Dobrej nocy!

Dlaczego o tym piszę, po pierwsze chcę wyraźnie to powiedzieć, że rozmowy z Panem Januszem miały na mnie uzdrawiający wpływ, były – nie bójmy się tego słowa – błogosławieństwem, a pod drugie po to, aby polecić najnowszą książkę Pana Janusza „Maleńka”, którą wydał mając 90 lat, co jest ewenementem. Dodam, że Janusz Majewski swoją pierwszą książkę opublikował w wieku 70 lat, czym pobił rekord należący do Andrzeja Kuśniewicza (którego twórczością swego czasu był tak zafascynowany, że przeniósł na ekran jego powieść „Lekcja martwego języka”). Wszystko to, co do tej pory napisałem, wskazuje na jedno, warto pisać/tworzyć bez względu na wiek i choroby, warto czytać, szlifować swój warsztat, zabiegać o energetyzujące relacje, jednym słowem uczyć się od mistrzów.

Miroslaw G. Majewski

Kozetka (93)

Saudaude. Hortiterapia

*Życie jest straszne,
ale ja postanowiłem, że jest piękne.*

Bohumil Hrabal

Utrzymać piękno to jak schwytać motyla. Przepisów jest mnóstwo, dużo słów i wiele ingredientów.

Zewnętrznie: Teoretycznie – łatwiej: Wystarczą styl, pieniądze, czas i wyobraźnia.

Wewnętrznie trudniej: Kto jest w stanie wysupłać z siebie tylko i wyłącznie pozytywne myśli 24/7?

Joanna Friedrich

Są jeszcze dary, które otrzymujemy niezależnie od nas: pogoda ducha, samodyscyplina, wytrzymałość. Poruszamy się w wiecznym tańcu z naturą i cieszymy temperaturą:

Kierunek: Leżaki.

We śnie pod dostatkiem jest tego, czego skąpi nam rzeczywistość: Kreatywność, frywolność, mobilność, polimorficzność – ocean znaczeń, po którym człowiek uczy się żeglować całe życie, starając się znaleźć klucz w stosach kluczy, jak w bajkowym Sezamie. Sam Sezam otwierają słowa. Kluczem nie jest wydobycie, ale przeistoczenie. Tylko tak wielbłąd przechodzi przez ucho igielne.

Latem moja część introwertyczna i część ekstrawertyczna walczą wręcz.

Człowiek chodzi wciąż półnago i wydaje mu się, że ma nagie myśli. Nic bardziej mylnego:

Do czego służyłyby wtedy rozmowy?
Wnioski z rozmów:

Trzeba przeżyć życie jak najpełniej i naj-

piękniej. Uśmiechać się jak najczęściej i jak najczęściej być dobrym, po prostu. Jest szansa, że to wróci.

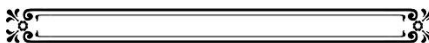
Pełnia lata. Powietrze pachnie obłądnie, zwłaszcza po deszczu. Kuszą mnie metropolie, czytam książkę o tytule „Niewidzialne miasto”, oglądam serial „Niewidzialne miasto”. Metropolis, to zagęszczona energia przecinania się ludzkich losów. Potężna – latem przychodzi. Za to miejscowości lotniskowe są jak lądowiska-lotniska. Tu wymiana następuje bez przerwy i sama w sobie jest energetyczną bryzą. Czasem zamiast zmiany wystarczy ruch, oczarowanie.

Latem mniejszą uwagę przykładam do odzienia, większą do biżuterii. Zupełnie, jak w najnowszej kolekcji Fendi, jesień Couture, 2023.



Ładowanie baterii: Mode On. Środek lata, środek wakacji, środek dnia. Jest pięknie. Chwilo trwaj.

Ten pokaz jest tu jak kropka nad i.



Małgorzata Kulisiewicz

Do utraty oddechu

Biegnę przez Planty
mijając
rozpędzone hulajnogi
niezręczności
i rowery naznaczone
codzienną ułudą.
Dwaj bezdomni
na ławce Szymborskiej
odgarniają nogami
resztki piękna,

jesienne liście.

– Mój tata był leśnikiem –
słowa z alkoholicznym wydechem
rozwieja wiatr.
Biegnę do utraty tchu,
czy zdążę
dogonić życie?
Czy ono znajdzie mnie?
A może miniemy się
nierozpoznani,
zawsze obok
spełnienia.

Nocne strachy

zwiędnięte cywilizacje
czas kiedy nie będzie już ogrodów
to tylko zły sen
który rozwieje się
w porannym przesmyku słońca

jarzębina zagłąda do okna
gałązka jaśminu
odbija się w żrenicach domu

lato zostanie już na zawsze
w naszym ogrodzie

księżyc przeciąga się leniwie
zasypia
otulony zapachem bżów

Iluminacja wśród pustych krzesel

Kończy się seans,
gaśnie obraz,
rozświetla ekran.
W widzach iluminacja,
w sali światło.
Wracamy do rzeczywistości,
czas rozpocząć *reality show*.
Rozświetliliśmy się na chwilę,
w umysłach nieco więcej mądrości prawdy
i piękna.

A teraz koniec filmu,
budzimy się
do niedoskonałości.

Dotyk nieba

Ból codzienny
nie gramy na jednej strunie

zmory zniżają się do szeptu
bzdury wybuchają symfonią

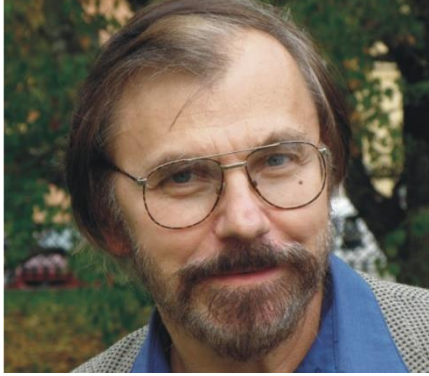
ból na granicy istnienia

podrzucamy cierpienie
wprost do chmur

cisza
jądro tęsknoty

epicentrum wodospadu
ON-ŚWIAT

Listy do Pani A. (182)



Fot. Andrzej Dębowski

Milcz, dziadu!

Droga Pani!

Oglądałem po raz wtóry wspomnieniowe koncerty z Opola. Przypominały mi się lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte; ludzie, którzy nie zdołali się „ukryć” w mojej niepamięci. Odniosłem wrażenie, że to prawie niemożliwe, abym to wszystko przeżywał. I że się skończyło. Odczułem żal, w pewnym sensie „eschatologiczny”. A może tylko smutek wynikający z jakiegoś sentymentalizmu zaczął mnie ogarniać? Ale to także niejaki dowód, że do tej pory mniej więcej żyję.

Porównuję więc to, co było na przestrzeni tych kilkudziesięciu lat z tym co jest teraz. Dochodzę do wniosku, że albo tamten czas był lepszy, życzliwszy, bezpieczniejszy, albo to ja się starzeję i trudno mi się asymilować we współczesności, choć przecież nie odrzucam jej *en bloc*. Korzystam z wszystkich udogodnień współczesnej techniki, umiem rozmawiać z ludźmi, mam duże, czasami zaskakujące, poczucie humoru. O co mi więc chodzi? Przede wszystkim o brak autentyczności. Dotyczy to sztuki, języka, stosunków międzyludzkich. Zmienia się znaczenie niektórych słów, np. „atencja” nie zawsze dziś oznacza to, co powinna: szacunek. Obecnie w prostym przełożeniu z języków obcych zastępuje „uwagę”. Niedługo usłyszymy z dworcowych głośników: „atencja, atencja, pociąg osobowy do Pcimia...”.

Wracając jednak do współczesnej sztuki, a konkretnie do piosenkarstwa słyszymy wszędzie „amerykańskie”, rockowo-popowe łomoty, wrzask, dysharmoniczne akordy. Dykcja jakby wykonawcy mieli polipa w gardle. Stało się to niemal powszechne. Tego nie da się słuchać na dłuższą metę. Rzeczywiście, może już nie jestem „z tej epoki”. Toleruję, choć bardzo tego nie lubię. Ale jest „modne”, a co najważniejsze przynosi niewyobrażalne zyski, bo krzykliwe i nastawione na hiper masowy odbiór.

Inaczej z literaturą. Zwłaszcza z poezją. Dlatego pozostaje w cieniu, bo nie jest tak krzykliwa i nie generuje takich zysków jak formy estradowe, czyli – żadnych pieniędzy (piniendzy?). Trudno, żyjemy w epoce ludycznej. Ale czy nie zawsze tak było?

W poezji również obserwujemy zanik indywidualności. Wiersze są do siebie bliźniaczo podobne, mówią najczęściej o niczym, istnieją jako słupki zdań o bardzo nikłych, najczęściej banalnych przesłaniach. Dużo barwniej wyglądało to w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, choć i wtedy narzekano na duży zalew wierszyczków. Ale jednak była jakaś selekcja, nie istniał internet, gdzie każdy może zamieszczać to, co mu ślina (czy inna substancja) na klawisze przyniesie. I można było wtedy wyłonić rzeczywiście interesujące indywidualności. Zapewne dzisiaj też są. W końcu sam mógłbym, pomimo swego mal-kontenctwa, kilka zapowiadających się lub już zapowiedzianych zjawisk wskazać. Ciekaw jestem, jak się Pani na to zapatruje?

Ale już nie marudzę i nie zrzedzę. Staję teraz przed lustrem i wołam: milcz dziadu!

Wspomnę więc poezję Urszuli Małgorzaty Benki. Zachwyił mnie jej tom zatytułowany „Melodia opętania”. Tom bardzo oryginalny, indywidualny tak w warstwie leksykalnej jak i filozoficznej. A nie jest to poezja łatwa. Trzeba tutaj istotnie gwałtownego „opętania”. Bierność tu na nic. Bierność – równa się zwyczajność. A poezja nie może być do końca „zwyczajna”, choć mówi ona tym samym językiem, którym się potocznie posługujemy. Ale jednak to inny język. Pozornie inny. A może nie? I tu tkwi tajemnica, swoiste sedno sprawy. *W klasy gram na twojej klawiaturze / przy bieli się unoszę w czerni zanurzę / aż do dna.* Urszula M. Benka wchodzi w głąb słowa, zstępuje niczym do piekieł. W ten sposób powstają ekspresyjne wizje; unaocznia się cały kalejdoskop tajemnic, złożoności świata. Nie tylko zewnętrznego, ale tego, który – właśnie poza potocznymi znaczeniami – jawi w nadrealistycznych wizjach. W mistycznej ciszy. Ale przecież wszystko, co wydaje się nadrealistyczne, w zderzeniu z wyobraźnią czytelnika kreuje nową jakość. Tego się na da opisać, zdefiniować. To po prostu JEST.

Tajemnica Światów? Można to i tak nazwać. Przecież nie wiemy, jaka potęga kryje się poza wszystkim, co jesteśmy w stanie poznać, opisać, dostrzec. W czym stale żyjemy. To prawda, że jesteśmy „wirusami ekosfery”. Natomiast Absolut należy do sakro-sfery. Jednak osobliwy bilans jest taki sam: wszystko kruszeje, znika. A może się tylko przemienia? W każdym razie, jak powiada podmiot liryczny, po nim zostaną pustynie cywilizacji, a po domniemanym Absolutie śmietniska Świętych Duchów.

Ta poezja poraża oryginalnością i śmiałością wizji, metaforyką nie do podrobienia. Jakże ona jest inna od pocziwego, tak dziś rozpowszechnionego gęgania o niczym, albo od „poetyczno-dydaktycznych”, skądinąd w sposób niezamierzony, zabawnych, utworów.

Aby nieco odetchnąć powracam do lektur, w których świat jawi się jako bardziej przyjazne miejsce. Refleksje filozoficzne niezmiennie budzi we mnie wywiad-rzeka z Wacławem Oszejką „Innego cudu nie będzie”. Daleki od ortodoksji, często irracjonalnej i przerażającej; od „religijnej” ikonografii, która przecież nie odzwierciedla „stanu faktycznego” ale jest

raczej symbolem, projekcją wyobraźni artystów. Niebo, piekło, potępienicy, ogień, a nad tym wszystkim skorumpowany ofiarami sadystyczny siwobrody starzec, który – gdyby tak było w istocie – byłby pospolitym zbrojennym. Ale na szczęście tak nie jest. To tylko wyobrażenia, które miały także charakter dydaktyczny. Widzisz, co cię spotka jeśli nie będziesz grzeczny? Oczywiście w sztywnych ramach kościelnych, które na szczęście, choć nie wszędzie, już skruszały. Nie można przecież tego, co niewyobrażalne i niedające się wyrazić, zamknąć w słowach i obrazach; w ludzkim, ograniczonym umyśle.

Podobnie nastrajają wspomnienia Zofii z Odrowąż-Pieniążków Skąpskiej, o których to wspomnieniach pisałem Pani wcześniej. Tam spokojny i w miarę bezpieczny czas, ludzie kulturalni, ziemiański etos. A kiedy przyszła wojna, okupacja, utrata wszystkich dóbr, to jednak nie zdołała wszystkich zmienić. Nie byli już tak szczęśliwi, ale właśnie wewnętrznie byli dalej wolni i w pełnym rozumieniu tego słowa – szlachetni. Oczywiście, nie wszyscy, ale to oni potrafili przekazać to swoim potomkom i uchronić ich od powojennego, ogólnego zezwierzęcenia. Jednak miało się wtedy poczucie niejakiego bezpieczeństwa (nie mylić z bezpieczeństwem!). Oczywiście, idealizuję. Sprawdza się tutaj powiedzenie „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”.

I znowu dziad zrzedzi. Trudno jednak nie odczuwać smutku z racji upływu czasu.

Wydaje się, że tak niedawno rozmawialiśmy z Bohdanem Wrocławskim o początkach Portalu... Ileż do dziś powstało artykułów, wierszy. Ile tekstów nie ujrzałyby światła dziennego, gdyby nie Pisarze.pl! Cieszę się, że mogłem być jednym z pierwszych autorów, którzy włączyli się do współpracy. Czy Pani też jest czytelniczką tego Portalu?

Po pierwszym roku działalności redaktorsko-autorskiej tak pisałem do Bohdana:

Życzę więc Bohdanowi Wrocławskiemu i Jego niestrudzonej ekipie sił na długie lata w wydawaniu tego internetowego pisma literackiego, jakże potrzebnego polskiej kulturze, pi-sarzom, poetom, krytykom, czytelnikom – słowem nam wszystkim.

Stefan Jurkowski

Warszawa, 30.09.2011

Listy gratulacyjne przystali wtedy m. in.: Marek Wawrzkiwicz, Roman Śliwonik, Aleksander Nawrocki, Zbigniew Szmurło. Aż trudno uwierzyć, że już tyle upłynęło czasu. Są to życzenia niezmiennie.

Panią poza tym też zasypuję tymi listami już chyba szesnaście lat, a jakby przez nieopstrzeżoną chwilę. Jak długo jeszcze?

Ale precz, precz od nas smutek (w)szelki... Ja tam noszę pasek, więc smutek nie ma w co uciec. Pomimo wszystko cieszę się, że piękna jesień powoli się zaczyna, zapewne gdzieś tam mimozami, niczym u Tuwima.

Zatem słonecznie, ale i babioletnio Panią pozdrawiam –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Lirycznie...

Jesień przychodzi czerwonią, brązami i żółcią. Zamienia resztki zieleni w ogniste plamy, barwi połacie dzikiego wina, oplatającego płoty, słupy, a nawet drzewa, które wyglądają, jakby poprzebierały się na wielki bal. Świadomość, że lato odchodzi bezpowrotnie nie nastroja radośnie, ale ten rodzaj jesieni sprawia, że daje się jeszcze mieć nadzieję, że przeżyjemy jeszcze coś, co na długo zostanie nam w pamięci.

Andrzej Dębowski

Moja tegoroczna jesień jest przede mną, ale jak na razie nie pachnie grzybami, a wyschniętymi wysokimi trawami. W mojej „dzi- czy” one zawsze budziły mój podziw i zachwyty, ale teraz stały się jakieś majestatycznie piękne. Stoją dumnie nad rozlewiskami, tworząc jakby nieprzeniknione płoty, zielono- żółte parkany, za którymi rozpościera się król- estwo zmaconej przez żaby i ryby gliniastej wody oraz moczarki. Stąd już tylko krok do małych brzożowo-sosnowych zagajników, pełnych borowików, czerwonych i szarych koźlaków, i maślaków. Ale w tym roku jest nieco inaczej. Susza zrobiła swoje. Niemniej jednak samo obcowanie z przyrodą jest chyba jednym z największych darów, z jakiego my – jako ludzie – możemy korzystać.

Późne lato i jesień to czas niezwyklej, nie- powtarzalnej pogody, połączonej z przeżywa- niem metafizycznych wręcz uniesień. Ileż trzeba było lat, żeby doświadczyć, że najbliż- sze obcowanie z naturą i wśród natury jest tym, czego tak naprawdę człowiek potrze- buje. A niebo oglądane z ziemi poprzez pry- zmat traw wyzwała w nas wszystkie najcu- downiejsze emocje.

Czegóż nam więcej potrzeba do życia, szczególnie wtedy, kiedy nie tylko zapach przekwitających ziół doprowadza nas na skraj euforii. Przecież tak niewiele potrzeba jest człowiekowi, żeby dotknął niemożliwego, żeby owo niemożliwe stało się faktem i sprawi- ło, że przecież to tak naprawdę jest istotą człowieczeństwa...



Czeremchowe lasy... Piękne, gęste, niewy- sokie. Pełne wydłużonych liści, lancetowatych i błyszczących na wierzchu. Gdy w czerem- chowe lasy zawita słońce jesieni pięknie się przebarwiają. Wyjątkowo wyglądają, gdy po- ranki są już mgliste, a powietrze zimniejsze co- raz bardziej. Kiedy czeremchę się pokocha, miłość do niej nie przemija...



Rośnie ona najczęściej tam, gdzie inne krzewy nie chcą rosnąć. A owoce ma przed- nie... Dlatego chętnie korzystają z nich ptaki i zwierzęta, a dla ludzi mądrze wykorzystane są alternatywą dla antybiotyków.

Można owoce również suszyć i używać do sporządzania naparu, odwaru, jako składnik herbatek aromatycznych ziołowo-owoco- wych o charakterze profilaktyczno-leczni- czym. Zawierają cukry, pektyny, kwas jabł- kowy, cytrynowy, askorbinowy (mnóstwo wi- taminy C), sole mineralne, rutynę, garbniki i wiele innych. Ich pestki mają migdałowy za- pach i smak, bo zawierają glikozydy cyjano- genne, podobnie jak kora i świeże pędy.

Czeremcha najlepiej nadaje się do sporzą- dzania nalewek. Niektórzy mówią, że królową nalewek jest dereniówka... Nie, to nalewka z czeremchy jest niepowtarzalna. W tym roku krucho jest z czeremchą. Nie obrodziła. Gdzie- niegdzie można znaleźć resztki cudownie czarnych owoców, ale trzeba się nieźle „na- skubać”... Do zimy jeszcze daleko, ale smak i zapach czeremchowej nalewki przypomina nam, że da się ją jakoś przeżyć...

Współczesny świat coraz bardziej brutali- zuje się. Dziś znacznie częściej, niż przed laty możemy zostać napadnięci na ulicy i obrabo- wani lub zabici. W pracy nas poniewierają, w życiu publicznym zniewalają, oszukują i upo- karzają. Oszuści i kryminaliści wygodnie usad- owili się już nawet na najwyższych urzę- dach, a pospolicie bandyci, mordercy i terrory- ści – nie tylko dorośli, ale już dzieci – są coraz odważniejsi, ponieważ bywają bezkarni. Wszystko – co porządne – legło w gruzach, bo już nawet przyzwoitość jest przez większość uważana za naiwność, a kręctwo i złodziej- stwo stało się powszechne. Bycie nieprzyzwo- itym jest postrzegane jako coś niesamowitego – młodzi nazywają to trendy, bądź „cool”.

Jak więc dzisiaj stworzyć (upowszechnić) kulturę o wartościach nieprzemijalnych, którą jednocześnie chciałaby oglądać publicz- ność masowa? Mówienie o takiej kulturze jest dziś szczególnie trudne, gdyż rozrywkowa sztuka i kultura wprowadzają do powszech- nego obiegu jakości wynikające nie z wartości prezentowanych treści, lecz np. z doskona- łości technicznej urządzeń tej rozrywce słu- żących. Niestety, funkcjonują one jako wartości zastępcze. Na przykład, przeciętny słuchacz muzyki młodzieżowej nie ocenia już samej muzyki – on słucha sprzętu. Sztuczna rzeczy- wistość wydaje się spełnieniem marzeń o lep- szym świecie. Należałoby zadać pytanie, dla- czego tak się dzieje?... Odpowiedź jednak wy- daje się prosta...

Uwielbiam chodzić na targi i odpusty, i podglądać ludzi, gdzie wkoło pełno tandet- nych produktów. Czapczek, butów, sztucz- nych ubrań, kolorowych, plastikowych wia- traczków, pierścionków, wisiorów, pistole- tów i mnóstwo innych szalenie „interesują- cych” rzeczy. Spacerując między straganami, mam przed oczyma cały przekrój społeczny – od dystygowanych pań wybrzydzących niemal wszystko, ale jednak całymi godzinami przebierającymi w „tandetnych, wiklinowych wiankach”, po poszukiwaczy skarbów leżą- cych w stosie szmelcu zbieranego na niemiec- kich śmietnikach... I co dziwniejsze – nikt nie wychodzi z pustymi rękami... To jest właśnie ta odpowiedź na wcześniej postawione pyta- nie.

Życie duchowe przeciętnego obywatela zostało zastąpione rynkiem towarowym, a doskonalenie się wewnętrzne – bogaceniem się oraz coraz większą obojętnością na rzeczy- wiste problemy stojące przed nami. Tylko kul- tura wyrafinowana jest prawdziwą kulturą, szczytowym osiągnięciem ludzkiego ducha w tej dziedzinie; kultura masowa jest obniże- niem życia duchowego do bardzo niskiego po- ziomu banału i przeważnie głupiej, jeżeli nie wulgarniej, rozrywki. ■

Ławeczka Józefa Barana (10)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

RZECZYWISTOŚĆ W NAPARSTKU

Każdy z nas ma do dyspozycji naparstek
którym usiłuje wyczerpać świat

Przez chwilę czyli w młodości nawet wierzymy
że uda nam się to zrobić

26 czerwca-15 lipca

Borzęcin z przerwami na Kraków. Tłuma-
czyłem wiersze Kaługina, pisałem wstęp do
„Twórczości”, gdzie publikuję moje listy od listy
Erny i Artura Sandauerów

Szkice do portretu Pana Artura i Erny

W porównaniu na przykład z takim Sławo-
mirem Mroźkiem, dla którego korespondencja
była jedną z literackich form i jedną z projekcji
istnienia, Artur Sandauer traktował listy jako
„PS” do życia. Korespondentem był nietę-
gim; zbyt niecierpliw i zbyt „publiczny”, by
dzielić się intymnościami w listach. Cały wy-
chylony na zewnątrz – realizował się raczej w
wykładach, gwałtownych polemikach, w
sztuce konwersacji („która”, jak powiadał,
„upada”), w artykułach krytycznoliterackich
czy przekładach. Dlatego nasza trzynastoletnia
znajomość, która z czasem przerodziła się na-
wet w jakiś rodzaj zdystansowanej, ale nace-
chowanej serdecznością przyjaźni – w małym
stopniu odzwierciedlała się w listach. Zbyt czę-
sto spotykaliśmy się „na żywo”, rozmawialiśmy
przez telefon, by listy nie zostały zepchnięte na
margines. Jakość korespondencji często uzależ-
niona jest od odległości dzielącej koresponden-
tów. Mroźek mieszkał w Paryżu i nasze listy –
wydałem je w książce pt. *Scenopsis od wieczności*

– bywały w tamtych czasach jedyną formą kon-
taktu, Sandauer mieszkał „tylko” w Warszawie.

Do Warszawy jeździłem wtedy stosun-
kowo często i stosunkowo często gościłem u
Artura w jego mieszkaniu na Karłowicza, gdzie
mogłem zawsze liczyć na nocleg i wieczorną
rozmowę o Gombrowiczu, Schulzu, Białoszew-
skim, Leśmianie i w ogóle o literaturze przez
duże „I”. Przy zastawionym stole milcząco, ale
życzliwie krzątała się Erna, która czasem za-
praszała mnie do swojej pracowni malarskiej,
żeby pokazać mi nowe kolaże. Obydwoje kilka-
krotnie odwiedzili mnie w Krakowie, gdzie Ar-
tur czytał swoje przekłady z Rilkego. Spotykali-
śmy się ponadto w Zakopanym (w zaikso-
wskim hotelu „Halama”), na warsztatach literac-
kich w Giżycku, które prowadziliśmy wspólnie,
czy na festiwalach poetyckich między innymi w
Łodzi.

Można rzec, że stałem się z czasem nieomal
„domownikiem” Erny i pana Artura, którego
niektórzy traktowali w tamtych czasach jako
srogiego cesarza krytyki, gdy ja tymczasem wi-
dywałem go w szlafrokach, w piżamie, podkra-
dającego z półmiska plasterki kiełbasy (a było
to mu – diabetykowi – zakazane), czy tłuką-
cego się po mieszkaniu jak nocny Marek (miał
kłopoty z zasypianiem). Uważałem go za osobę
mi bliską, a nawet – ze względu na różnicę
wieku – za kogoś w rodzaju mojego przybra-
nego ojca intelektualnego, bo przecież z moim
ojcem-chołpem nigdy nie mogłem pogadać o
tym, co mnie pasjonowało – o książkach... Mia-
łem szczęście – jak mi mówił Sandauer – po-
znać go już „w złagodzonej wersji”, co nie zna-
czy, że nasza przyjaźń przekraczała granice po-
ufałości. Zbyt był przywiązany do form, które
zresztą – o paradoksie – często jako krytyk i
człowiek – przekraczał i łamał.

Jak doszło do poznania? Impulsem stał się
podobno wiersz Śpiąca konduktorka, na który
krytyk natrafił w miesięczniku „Poezja” (w
1973 r.), gdy – nomem omen – sam jechał po-
ciągiem. Wiersz wpadł mu w oko i przypadł do
gustu na tyle, by – gdy rok później otrzymał od
telewizyjnego „Pegaza” sterę tomików debiu-
tanckich do oceny – skupił uwagę właśnie na
moim zbiorze Nasze najszersze rozmowy, uzna-
jąc go za najciekawszy debiut roku. Do-
wiedziałem się o tym – jak o sensacji od ekipy
telewizyjnej z „Pegaza”, która nagrała ze mną w
Krakowie rozmowę. Tymczasem ja, nieuk, nie
wiedziałem wówczas jeszcze, kto to Sandauer,
czym wprawiłem redaktora w lekkie osłupie-
nie. Program został wyemitowany. Ja w mię-
dzy czasie uzupełniłem wiedzę o krytyku, ale za
wystąpienie w telewizji podziękowałem mu
dopiero w rok później, kiedy wydałem kolejny
zbiorek poetycki Dopóki jeszcze i wysłałem
profesorowi z człołobitną (bo jakże by inaczej)
dedykacją. A co działo się później – to już w li-
stach...

Układa się z nich wieloletnia historia mojej
znajomości z Sandauerami. Przy czym trzyma-
nie pierwszych lat to prawie wyłącznie listy z
Arturem, następne – to korespondencja z
Erną...

Zapamiętałem ich obojga jako „zgodne
mażeńskie przeciwieństwo”: ogień i woda, bu-
rza i milczenie, sztorm słów i cisza morska.
Przy stole biesiadnym „tokował” zawsze Artur.

Erna w tym czasie z tajemniczym uśmie-
chem sfinksa formowała z papierowych serwet-
tek figurki baletowe, którymi obdzielała dzieci
(moje), a i czasem nas dorosłych. Czują się, że
Erna ma jakąś tajemnicę w środku. Dopiero po
latach dowiedziałem się o tragicznych prze-
życiach malarki w okresie okupacji, gdy na jej
oczach szmalcownik zamordował w lesie jej ro-
dziców, a ona sama cudem z tego wyszła, tak
jak cudem wywinęła się też z Holocaustu, ukry-
wając się przez parę lat w różnych miejscach i
miastach...

Tak, Erna cała osnuta była tajemnicą i dys-
krecją, ale od czasu do czasu wpadała w „szam-
pański nastrój” i wykrzesywała za siebie fajer-
werki surrealistycznego ścichapek humoru –
układając żartobliwe kalambury, powie-
dzonek, wierszyki albo przekraczając pełne po-
wagi zdania Artura i kształtując z nich – jak z bi-
bułek figurki – słowne wygłupy. Wtedy pan Ar-
tur czuł się ubezwłasnowolniony. Jego profes-
orska powaga na tle jej wygłupów stawała się
przez chwilę anachroniczna. Komentował to
dobrotliwie: „Ela kocha wygłup. Wszyscy mala-
rze kochają wygłup. Są nie na serio”...

W latach osiemdziesiątych Artur Sandauer
przystał do obozu Jaruzelskiego. O szczegółach,
związanych z tym „nieszczęsnym” – jak mawiał
pod koniec życia – akcesem, piszę szerzej w
przypisach do listów. Uważał, że stan wojenny
był złem koniecznym ze względu na możliwość
interwencji sowieckiej. Działał nawet w Naro-
dowej Radzie Kultury. Twierdził, iż dlatego, bo
miał nadzieję przekonania generała, by wpro-
wadził do szkół średnich łaćnę, gdyż Polacy są
językowo „niedouczeni” (sam znał grekę, ła-
ćnę, hebrajski i posługiwał się w miarę biegle
bodaj jedenastoma językami)...

Warto na koniec tego postscriptum dodać,
że zarówno moje ostatnie spotkanie z Arturem,
jak i z Erną, miały dość dramatyczny charakter.
W 1988 roku na wieść o tym, że profesor jest w
szpitalu na warszawskim Bródnie w stanie
śpiączki – pojechałem do niego z kwiatami, lecz
do rozmowy nie doszło. Leżał nieprzytomny,
oczy miał zamknięte, wydawało mi się, że śpi,
choć podobno moją obecność zarejestrował, o
czym doniosła mi w listach Erna.

Z Erną po raz ostatni spotkałem się w 2003
roku, gdy przyjechałem do córki Asi do szpitala
na Mokotowie (gdzie przyszła na świat moja
pierworodna wnuczka) i postanowiłem zajrzeć
przy okazji (z drugą moją córką Ewą) do bli-
skiego mi mieszkania przy ulicy Karłowicza.

Zastałem Adama (syna Erny i Artura),
wówczas dziewięćdziesięcioletnią staru-
szeczkę, która miała już tak wtedy mocne za-
niki pamięci, że mnie nie poznała. Odebrałem
to jako szok... Mimo to rozmawialiśmy i poczę-
stowała nas herbatą i ciastkami. Jak surreali-
styczny żart zabrzmiało jej zdanie: „Siadajcie,
częstujcie się, ja nikogo nie pamiętam, nic nie
wiem, poza tym że urodziłam się we Lwowie”.
„Miejsca urodzenia sobie człowiek nie wy-
biera” – powiedziałem, żeby coś powiedzieć.
„Tak pan myśli? Czy ja wiem... może jednak to
od nas też zależy... gdy bardzo tego chcemy” –
odrzekła z tajemniczym uśmiechem.

cdn.

Obowiązek poezji dzisiaj

Tomik ten to wiersze, w tym dwa poematy, o potrzebie pisania poezji, choć najważniejszą z muz – twierdzi **Ryszard Wasilewski** – jest samotność, bo podnosi głośność wiersza, prowadzi do miejsc prawdziwych wzruszeń i inspiracji. Dławi także krytykę tych, którzy nie szanują „czasu zarazy”, i mają luz na spacer, osobiste zainteresowania, myślenie o spełnianiu siebie. Obecnie droga życia komplikuje się, dni się „kłębią”, *droga bywa kręta / i czasem trzeba przebić mur* – podkreśla autor. Idąc bowiem na spacer piszemy nową księgę naszego życia. Ciągłe zmieniamy maski i dekoracje, chcemy uciec przed czasem, który nas dopada, podziwiamy sady, szron jesienny i cmentarze pełne kwiatów. Jednak nasze życie przypomina „drogę Syzyfa”. Poeta utożsamia się z żywiołami natury, którym ulega, podejmując kolejne etapy życia. Dom i jego zawartość przypominają mu „teatr codzienności” i podsyca do powrotów do czasów młodości.

Celem jego działania staje się także z agresywnymi postawami ludzi i ich „utrata sumienia”. Podziwia natomiast tych, którzy naśladowują Orfeusza i myślą także o przetrwaniu świata w duchu ekologicznym. Przy okazji dokonuje krytyki kultu świątyni, gdzie miłość staje się grzechem. Tęskni za rozmową, w której słowa ozywają w prawdzie. Pandemia zaś czeka na powrót moralności i osłabienie zwątpienia. Wydaje mu się, że pory roku się obecnie nieustannie przenikają. Sądzi następnie, że odzyskujemy siebie ze świata przez sprzeciw wobec „teatrowi cieni”, a nasza „historia czasu” potrzebuje nowych osobliwości, by płynąć dalej. Należy również poddać krytyce procesy medializacji, które dążą do zastąpienia sobą naszej rzeczywistości. Wreszcie czytamy tryptyk o ludziach: porządnym, desperatach i frustratach – wszyscy oni powinni obecnie zawstydzić się, by odzyskać wiarę, miłość i honor, które straciły na znaczeniu w stosunkach międzyludzkich. Należy walczyć z rasizmem, który powraca w różnych formach i szerzy strach. Dobrze to widać w czasie agresji Rosji na Ukrainę, a dalszy rozwój tego procesu może doprowadzić ludzi do samounicestwienia się.

Poeta podkreśla, że obecnie nieustannie tracimy własną tożsamość i coraz trudniej ją odzyskać. Jednak jej poszukiwania stają się konieczne, a celem musi być solidarność wszystkich ludzi: musimy ciągle szukać i badać wartości, by rzeczywiście żyły wśród nas. Sama zaś poezja jest dobrem: lekiem na wszystkie nasze dolegliwości psychiczne i fizyczne. Warto zatem pochylić się nad tym tomikiem i przemyśleć jego przesłanie.

prof. Ignacy S. Fiut

Ryszard Wasilewski, „Przyptywy”. Ilustracje: Robert Wood. Wydawnictwo: Marszałek Development & Press, Toruń 2022, s. 106.

Manuskrypt Piotra Prokopiaka

Nieczęsto się zdarza, by książka pisarza ukazała się najpierw w przekładzie na język obcy, a dopiero potem w wersji oryginalnej. Tak jest w przypadku kompletnego zbioru opowiadań **Piotra Prokopiaka**, „Zielony manuskrypt”. Ten fakt sprawia, że zainteresowanie czytelnika staje się jeszcze głębsze i ostrzejsze. Językiem pierwszego wydania jest ukraiński. Na pozór nie mając nic wspólnego z Ukrainą (ani pochodzenia, ani miejsca zamieszkania), myśli i uczucia autora utknęły w naszej ojczyźnie za sprawą Drohobycza i Brunona Schulza, którego twórczość bada od wielu lat.

Piotr Prokopiak należy do średniego pokolenia polskich pisarzy. To generacja, której dzieciństwo upłynęło w warunkach „liberalnego socjalizmu” PRL, jeśli tak można określić system panujący w Polsce do upadku Związku Radzieckiego. Charakteryzował się wieloma prawami i swobodami, takimi jak hegemoniczny wpływ Kościoła na różne sfery życia, przyzwolenie na posiadanie prywatnej własności i małych firm. Dlatego trudne przejście do bezwzględного systemu kapitalistycznego było postrzegane przez pewną część pokolenia lat 60. i 70. jako kataklizm, który doprowadził do wielu osobistych załamań i tragedii oraz trudnego poszukiwania swojego miejsca w nowej, najczęściej wrogiej rzeczywistości. To zagadnienie jest również szeroko reprezentowane we współczesnej literaturze ukraińskiej, zwłaszcza w latach 90. i na początku XXI wieku.

Owe egzystencjalne tragedie stosunkowo młodego pokolenia znajdują swój odzew w prozie Piotra Prokopiaka, autora trzech powieści, zbiorów opowiadań i wierszy. Gros opowiadań ma charakter nowelistyczny, treść filozoficzną i psychologiczną. Smutek i pesymizm przeplatają się z ironią i nostalgią, mistycyzm z realizmem. W kanwie narracyjnej poszukiwanie samego siebie odbywa się zawsze w ścisłym związku z żywiołami lub przyrodą (las, jezioro), która oczywiście istnieje według własnych praw będących zarazem odbiciem wewnętrznego świata Człowieka. Dla potwierdzenia głównego nastroju swojej narracji autor posługuje się mottem – cytatem z opowiadania Brunona Schulza „Jesień”: „Nie mogę zabrać ze sobą moich piętnastu lat – pozostaną tu na zawsze...”.

W treści fabularnej opowiadania Piotra Prokopiaka można podzielić na historie o podłożu wspomnieniowym, realistyczno-mistycznym i egzystencjalno-medytacyjnym. Utwory dotyczące dzieciństwa są napisane ze szczególnym ciepłem. W przeważającej części snute są w pierwszej osobie, co dostarcza więcej środków językowych dla ujawnienia zarówno fabuły, jak i myśli autora. Na przykład w opowiadaniu o nieco dziwnym tytule

„1978” świat jawi się czytelnikowi oczami pięcioletniego dziecka, które wraz z ojcem odbywa nocną podróż pociągiem ciągniętym przez lokomotywę parową, która jest „straszna” w swoim groźnym majestacie. Mały chłopiec podróżuje do odległego i tajemniczego świata, aby przeczytać przynajmniej pierwsze strony Wielkiej Księgi Podlasia. Tam, na podwórku i w domu babci Józefy, odkrywa wiele nieznanego, nigdy niewidzianego rzeczy, podobnie jak każdy z nas, kto w dzieciństwie miał szczęście szukać skarbów na strychu rodzinnego domu.

Jednak najciekawsze wspomnienia autora związane są z jego rodzinnym miastem i ulicą, którą umownie nazywa Koszałkową. Tak jest w „Nocy komety”, gdzie ciekawski chłopiec z wielkim smutkiem przeżywa zniknięcie biblioteki, do której często biegał, by wypożyczyć „dorosłe lektury”, zwłaszcza powieści historyczne o czasach pierwszych władców polskich. Z kolei w „Przymierzu” mały bohater dzielnie stawia czoła burzliwym żywiołom, a nawet, jak mu się wydaje, zawiera porozumienie z wszechmocnym niebem, by powstrzymać potężną ulewę. „Wagary” to historia nastolatka i jego pierwszym niespodziewanym spotkaniu z dziewczyną. Opowieści o przyjaciółach z dzieciństwa – kolegach z podwórkowej drużyny piłkarskiej („CWKS” i „Optymista”) są przesycone melancholią. Wielu z nich nie było w stanie przetrwać przemian społecznych podczas przechodzenia do tzw. systemu kapitalistycznego. Tekst o znamienym tytule „Stracone pokolenie” pokazuje, co odczuwał młody człowiek w obliczu twardych realiów życia w rodzącym się imperium wyzysku. Nie mniej ciekawe są przekazy wspomnieniowe „Ostatnia tajemnica ojca” i „Ojczyzna”, gdzie autor nazywa matkę ukochaną, powoli zanikającą ojczyzną. Mistyczne opowiadania pełne są osobliwych stworzeń i kuriozalnych wydarzeń, które rozgrywają się w bardzo realnej scenarii. Bohatera na strych opuszczonego domu („Dom”) wabi płacz małej dziewczynki, która nagle przeistacza się w „drodzą inwolucji” i znika pomiędzy splekanymi deskami. Mężczyzna o duszy nastolatka („Cmentarny chłopiec”) mieszka w kaplicy na miejskim cmentarzu, zakochuje się nawet w wizerunku dziewczyny widniejącej na jednym z grobów, ale pewnego dnia z wszystkiego, co posiadał, zostaje mu tylko klucz... Opowiadanie „Sen” przypomina średniowieczną opowieść o inkwizycji, gdzie bohater poprzez wymyślne tortury zmuszony jest do wyrzeczenia się swoich przekonań. Opowiadania „Drabina”, „Klucz”, „Mucha” i „Piasek” cechuje niespodziewany rozwój fabuły.

Pewnego dnia przerażająca samotność przesywa człowieka („Adaptowany liść – egezeza (w) chwili”) i nie pozwala mu iść w przyszłość. Świat ludzki tonie w wyobraźni i świadomości, tworząc w zamian surrealne obrazy wewnętrznej faktyczności. Istnieje tylko fantastyczny nocny las wypełniony niepokojącymi biontami, które żywią się materią, las, do którego emigruje zagubiona dusza,

(Dokończenie na stronie 18)

Manuskrypt Piotra Prokopiaka

(Dokończenie ze strony 17)

zamknięta w sobie, by „zrozumieć poezję sosny, filozofię dębu, efemeryczność lipy, odczytać sens papirusowych liści topoli”. Jest to rodzaj poszukiwania spokoju – równowagi w mowie drzew. Zastygając w miejscu, człowiek wędruje przez złożone światy, mając nadzieję, że poprzez doznania i wspomnienia odnajdzie ojczyznę ojczyzn. Wchodząc głębiej, jakby w ciemną toń jeziora, w żywą materię opowieści, można odczuć niepokojące poruszenie związane z uświadomieniem sobie, że wszystko to istnieje jedynie w ostępach jaźni.

„Autystyczny las”, do którego autor przywiązuje szczególną wagę, oraz „Wyznanie” – utrzymane w malowniczych barwach opowiadania mają lekki odcień sarkazmu wobec społeczeństwa i obyczajów społecznych. Autor imponuje bystrą obserwacją rzeczy pozornie banalnych.

Wśród ogólnego egzystencjalizmu wyróżniają się dwa opowiadania oparte na prawdziwych wydarzeniach: „Tratwa” traktuje o bezsensownej śmierci kilku nastolatków, którzy wybrali się na wycieczkę po rzece na własną rękę skłonej tratwie, natomiast „Miś” to przynębiająca relacja o degradacji osobowości uzależnionej od alkoholu.

Być może najlepiej talent literacki Piotra Prokopiaka ujawnia się w jego tekstach medytacyjnych („Dystymia”, „Powrót”, „Tamta jesień”, „Odczodzenie w Xiege”), w których narrator poprzez uważną kontemplację praw lasu rozbija na atomy świat wewnętrzny – uczucia i przeżycia związane z tęsknotą za czymś, co nigdy się nie spełni, bo nie mogło się spełnić a priori w racjonalnym świecie ludzkim.

Podsumowując, należy stwierdzić, że opowiadania Piotra Prokopiaka są intelektualną ucztą. Stworzone niezwykle bogatymi środkami językowymi, wymagają odpowiedniego poziomu wrażliwości dla zrozumienia i głębokiej percepcji. W „Autystycznym lesie” autor powiada: „Bo duszę się pośród nas, uważny, ale i powierzchowny czytelniku! Duszę się powoli. Jakbym tkwił w komorze gazowej...” i to jest głos subtelnej duszy wobec powszechnej nieczułości, niewypowiedzianego bólu wśród ogólnej bezduszości i niewrażliwości na cudze cierpienie, głos Człowieka na bezładnej pustyni skomercjalizowanych, okrutnych praw społecznych. Jednak na końcu każdego tunelu widzimy światło, a to światło jest zawsze obecne w każdej Księdze Życia, na kartach manuskryptu tak wiecznego, jak ten świat.

Switłana Bresławska

* Przekład recenzji pierwotnie opublikowanej na ukraińskim portalu książkowym „Буквоїд”.

Pierwsza wojna polsko-indiańska

(Dokończenie ze strony 11)

Schodząc z tęczowego pięciotysięcznika, Warszawski kieruje się aż do Ayacucho, gdzie pod murami poprzedzającej Inków kultury Wari przypomina o walkach z konkwestadorami, co jest z kolei przyczyną do dwudziesto-wiecznej opowieści o wolności Ludzi Kamienia, młodej partyzantce i zemście Świetlistego Szlaku w postaci ośmiu tez wbijanych gwoździami w ciało „wyzyskiwacza” i „kapitalisty”. Spotkanie z demonem niepamięci miłośników literatury złości i przeraża. Jednakże o wiele groźniejsze złe duchy mieszkają w górskich wioskach. Dorosłe już dzieci ojców odpowiedzialnych za krwawe wydarzenia milczą, nie chcą pamiętać, ledwie wychylają się zza drzwi. Mimo tego aparaty fotograficzne w dłoniach przyjeźdźnych drżą a palce dziwnie blisko do siebie przywierają. Literatura i Sendero Luminoso poświęcone zostają na ołtarzu stanowiska archeologicznego sprzed czterech tysięcy lat. Ale fascynacja to tylko bardzo krótkie odwiedziny i szybkie strzelanie migawek. Dla autora i czytelnika niezwykłością jest podróż, którą zapewnia peruwiański rząd, przypominająca wyprawę z „Ceny strachu” Henri-Georgesa Clouzota, z tym że eksplozjom towarzyszą uderzenia gładów w karoserię samochodu, a pasażerom wydaje się, iż słyszą wystrzały z karabinów. Wytrwałość białego człowieka w przekraczaniu granic anekumeny doprowadza go wkroczenia na świętą górę w poszukiwaniu lodowca i współczesnych Indian najbliższych spokrewnionych z Inkami, z którymi spotkanie zaaranżowane zostaje podstępem.

Wędrówka przez Andy doprowadza do najwyższego szczytu w kolejnym kraju, Ekwadorze. Tam religią jest hiperwentylacja. Zamiast tęczy i oikoumene największą rolę odgrywa zmęczenie, wysiłek. Podróżnik nie zamierza składać w ofierze ani siebie, ani swoich okularów... Podobna historia przydarza mu się kilka tysięcy metrów niżej, po drugiej, wilgotnej stronie Andów, gdy szuka Warszawski szuka swojego El Dorado, największego petroglifu w peruwiańskiej Amazonii, docierając tam, gdzie nie stanęła stopa nawet Jana Kalinowskiego, założyciela parku Manú.

W Hawanie obok literatury leży drewno balsa. A raczej szybko znika, ponieważ „na Kubie (...) słowo balsa już dawno zaczęło oznaczać także nadzieję. Nadzieję pisaną przez wielkie N” [4]. Znika wraz z beczkami i wielkimi oponami, które ledwie mieszczą się w wąskiej uliczce prowadzącej do warsztatu, góra, skąd przez wiele dni i nocy będzie słycać stukanie, piłowanie, wiercenie. Dla gringo z amerykańską wizą nadzieja nie zaczyna się od wielkiej litery, ciekawość zaś spada wprost proporcjonalnie do przechyłu tratwy.

Trzeciego wielkiego pisarza spotykamy w stolicy Kolumbii, Bogocie, gdy prawie traci maszynę do pisania, ale w nagrodę za strach

Gabi zdobywa przyjaciela, El Commandante. Ale w Kolumbii, chociażby w piwiarni w Cartagena de Indias, można posłuchać o wiele ciekawszych opowieści o literatach. Chociażby bardzo pikantnych plotek o sporze dwóch noblistów.

Pamiętajmy, że jesteśmy w Ameryce Łacińskiej, gdzie katolicyzm przyjął pod swoje opiekuńcze ramiona prekolumbijskie wierzenia. Albo odwrotnie. „(...) dla Latynosów jest tym samym, czym dla Europy Lourdes, Fatima czy Częstochowa. Jest miejscem najświętszym, osadzonym (...) w lokalnej historii i tradycji. To miejsce nieustających pielgrzymek i modlitw; miejsce, do którego w każdej godzinie zwracają się myśli i westchnienia milionów Latynosów” [5]. Nie trzeba tłumaczyć, kto jest tam Królową. Legendę, mit założycielski opowiada, jak przypowieści biblijne, sześćcioro dzisiejszych apostołów. Ale w Meksyku władzę pełni nie tylko Matka z Guadalupe. Tam brakuje Tęczy z Kamienia, lodu i szczytu malowanego na biało. W czterech i pół tysiąca lat zamkniętych w drewnie władzę sprawują Quetzalcoatl, Tlaloc, Kukulcán, Tezcatlipoca, Coatlicue – bogowie i boginie, wojny, deszczu, śmierci. W Meksyku dwudziesty wiek to także malarka, jej Trocki i jej malarz w Błękitnym Domu z portretem Stalina. Jednak to krótka opowieść. Historię tworzą wojny, bitwy i rewolucje, masakry ludności cywilnej, rdzennych mieszkańców. Od Choluli, meksykańskiego Wounded Knee, po studencki październik roku 1968. Ale nie tylko Meksyk można zobaczyć w stolicy prekolumbijskiego ludu Totonaków, krążąc głową w dół, będąc „w połowie drogi, gdzieś pomiędzy, w podróznym bardo” [6].

Przesmyk Panamski jest w „Pierwszej wojnie polsko-indiańskiej” drogą do Brazylii, tytułowego eseju książki Warszawskiego i Tomka Wilmowskiego „U źródeł Amazonki”. Same cytaty z powieści Alfreda Szklarskiego są znamienne. Wpływają na zrozumienie, tolerancję, pewien wysiłek szukania argumentów po obu stronach konfliktu, ale także na smutek związany z nieuchronnością losu Indian. Pojawia się więcej cytatów z literatury pięknej, wspomnieniowej i popularnonaukowej. Jak na opowieść, z której wynikł tytuł książki, należy podziwiać jego wnikliwość, ilość źródeł. Znakomity ukłon w stronę pierwszych polskich osiedleńców w Ameryce Południowej. Czy jednak złożony z absolutnym, bezgranicznym szacunkiem? Podwójny boliwijski esej poświęcony został rewolucjonistom Che Guevary, którzy umykając spadochroniarzom z selwy, trafiają wraz Romanem Warszawskim do Chile, gdzie Matilde, Matildita, Matildita przedstawia Pablo Nerudę, tutaj – ironicznie i złośliwie udzielającego wywiadów. Chile jest także rozmodlone, konserwatywne, religijne i zamyka w domach seksualność. Na początku ostatniego roku dwudziestego wieku Arturo Torres i Jorge Cristi, a przede wszystkim odważna Daniela Tobar, udowodnili na sześć lat przed śmiercią Pinocheta, że Chilijczycy „chcą, by inne kwestie w ich życiu stały się równie jawne i przejrzyste, jak to, co działo się w szklanym domku. Powiedzieli w ten sposób, że chcą, by w ich kraju

w końcu rozstały się ciemne ściany, kurtyny i zasłony, które nadal skrywają tajemnice z czasów dyktatury” [7]. Niestety Argentyna również rozlicza się z dyktaturą. Warszewski nie wymienia z nazwiska generała i prezydenta. Tutaj przemawia ofiara i ona decyduje, kto jest najbardziej winnym, a komu przebacza.

Tak jak spod warstw ziemi, piasku, kamieni i roślinności wyłaniają się południowoamerykańskie zabytki archeologiczne, tak państwa kontynentu odsłaniają swoją mroczną przeszłość i wyciągają na światło dzienne przerażające epizody, które stały się podwalinami do powstania demokracji. Ofiary, kaci, przypadkowi świadkowie, podżegacze i otumanieni sprawcy zaczynają przemawiać, jeszcze cicho i nieskładnie, nie patrząc w stronę mogił, jeszcze widząc w zainteresowaniu przybywców wtrącanie się w sprawy, które dotychczas nie oglądały światła dziennego. Następne pokolenia czasami nie potrafią albo nie chcą wskazać miejsc, które budują historię lokalną, kraju i kontynentu. Duma dopiero się budzi wraz z odsłanianiem kolejnych petroglifów i otwieraniem muzeów sławiących artystów, literatów, poetów, którzy się tutaj urodzili bądź postanowili zamieszkać. Granica ekumeny przesuwa się coraz dalej, obszary bez ingerencji cywilizacji stają mniejsze, podróżnicy i turyści spotykają się z bosymi Indianami na zboczach świętych gór. Roman Warszewski nie tylko z pokładu awionetki ogląda kontynent. Chce być jak orzeł-mewa Totonaków, przeżyć swoją „El Cóndor Pasa” i później opisać to, co widział, usłyszał i odczuł całkiem już innym zmysłem w meksykańskiej Papantli.

Jerzy Lengauer

[1] Roman Warszewski, „Pierwsza wojna polsko-indiańska (Ameryka Łacińska w pół drogi)”. Wydawnictwo „Bernardinum”, Pelplin 2023, s. 10.

[2] Tamże, s. 54.

[3] Tamże, s. 94.

[4] Tamże, s. 97.

[5] Tamże, s. 135.

[6] Tamże, s. 289.

[7] Tamże, s. 231.

Eligiusz Dymowski

Czekając na Sen

Pamięci Janki Osewskiej

kiedyś razem
popłyniemy Czarną Hańczą
– mówiłaś –

musi być tylko słonecznie
w chmurach żadna
nie rozjaśni się woda

Jerzy Swodoba

Arkady Fiedler w Żelowie i inne wspomnienia

Od tego wydarzenia mijają właśnie 74 lata. W ówczesnych warunkach, zaledwie 4 lata po wojnie, była to duża sensacja – pierwsze w ogóle spotkanie znanego pisarza i podróżnika z czytelnikami w małej miejscowości – oficjalnie Żelów był wsią rządzoną przez wójta. Doszło do tego w niecodziennych okolicznościach zaaranżowanych przez trzech uczniów siódmej klasy, którym zaufali wychowawca klasy Wilhelm Najman i dwaj kierownicy szkół – „jedyński” Antoni Kozarzewski i „dwójki” Tomasz Mastej, dysponent sali w tzw. baraku.

Była wiosna 1949 roku. W „Dzienniku Łódzkim” znalazłem wiadomość, że redakcja patronuje spotkaniom autorskim Arkadego Fiedlera z czytelnikami w Łodzi i okolicznych miejscowościach. Ponieważ znałem już kilka jego książek, nie tylko głośny „Dywizjon 303”, pomyślałem, że warto zaprosić go także do Żelowa. Tylko jak to zrobić? Rozmawiałem o tym z najbliższymi kolegami z klasy – Zygmuntem Wejmanem i Jurkiem Michalskim. Poszliśmy do wychowawcy klasy p. Wilhelma Najmana, który poparł nasz pomysł i obiecał, że jeśli rzecz okaże się realna, pomoże nam i poprze. Ojciec naszego kolegi klasowego, dr Włodzimierz Łuczyński – posiadacz telefonu! – na naszą prośbę odczekał i zasięgnął języka u organizatorów w sprawie kosztu, terminu itp. Nie pamiętam szczegółów, ale po naradzie z wychowawcą doszliśmy do wniosku, że przy około 250 uczestnikach cena biletu nie będzie zbyt wysoka, co pozwoli zebrać kwotę wystarczającą na honorarium. Pan Najman rozpoczął podchody do p. Kozarzewskiego, który dał się przekonać pod warunkiem, że kierownik „jedyński” udostępni salę w „baraku”. Zgodę uzależnił od znalezienia paru groszy dla woźnych za przygotowanie sali i sprzętanie.

Po uzgodnieniach na miejscu i skalkulowaniu kosztów – znów z pomocą dra Łuczyńskiego – „zaklepaliliśmy” termin (9 czerwca, po południu): namalowaliśmy dwa afisze na brykolu (jeden do drogerii p. Olszewskiego), drugi gdzieś do Rynku. Bilety zrobiliśmy z zeszytu, dziurkując kartki zębatym kółkiem. Na każdym bilecie był kolejny numer i pieczętka szkoły. Sprzedaż i kasowanie nadzorował jeden z nauczycieli.

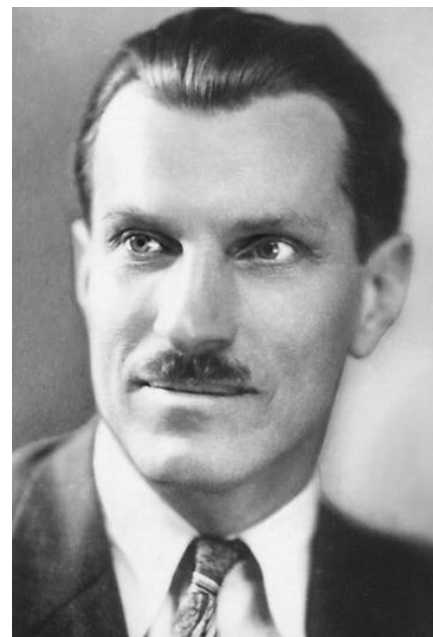
Spotkanie wywołało szerokie zainteresowanie, nie tylko młodzieży szkolnej i nauczycieli, lecz także licznych dorosłych. Zebrane pieniądze wystarczyły na honorarium i opłacenie woźnych, a także na kwiaty i lemoniade (innych napojów wtedy nie było), o czym na szczęście pamiętała jedna z pań nauczycielek, bo młodocianym organizatorom nie przyszło to na myśl. Podobno po spotkaniu ktoś z

miejscowych „notabli” zapraszał gości na poczęstunek, ale ze względu na późną porę nie skorzystali.

Pan Fiedler barwnie opowiadał o swoich podróżach przed wojną, lecz głównie o swoim pobycie wśród polskich lotników służących w Dywizjonie 303 podczas tzw. Bitwy o Anglię wiosną 1940 roku i o pisaniu książki. Jej pierwsze wydanie po polsku ukazało się w Anglii w 1942 roku, a rok później pierwsze podziemne w okupowanej Polsce (w sumie były cztery – trzy przez Tajne Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie, jedno w Kielcach). Jeszcze przed końcem wojny książka została przełożona na kilka języków obcych.

W 1948 roku pan Fiedler odbył pierwszą po wojnie podróż do Meksyku, książka o niej ukazała się później. Kilka wznowień książek wydanych przed wojną można było nabyć podczas spotkania.

Po prelekcji p. Fiedler poprosił o pytania. Najwięcej dotyczyło „Dywizjonu 303”. Ze względu na barwne opisy działań polskich lotników podczas kilku tygodni Bitwy o Anglię i – mimo upływu lat – utrzymującej się aktualności wspomnień wojennych, był ciągle czytany. Niezawodna pamięć mojej siostry Blanki utrwaliła pytanie jednej z pań z ówczesnej żelowskiej elity: czy Mulatki są naprawdę takie piękne i pociągające. Niestety, odpowiedź nie została zapamiętana, a magnetofonów jeszcze nie wynaleziono...



Źródło: Encyklopedia PWN

Fiedler Arkady

Na zakończenie spotkania ustawiła się kolejka po autografy, licząca na początku ponad 30 osób. Cierpliwie czekałem prawie do końca, nim zdobyłem się na odwagę i poprosiłem o „specjalną” dedykację. Pan Fiedler podniósł głowę i brwi i zapytał: – Dlaczego? Uprowadził mnie jeden z kolegów i powiedział z lekkim przekąsem: – A bo to jest organizator. Pan Fiedler wykazał zrozumienie i spełnił moją prośbę.

(Dokończenie na stronie 20)

Arkady Fiedler w Zelowie i inne wspomnienia

(Dokończenie ze strony 19)

W nie mniejszym stopniu zasługują na pamięć moi koledzy współorganizatorzy. Jurek Michalski po maturze w Liceum Pedagogicznym w Zgierzu ukończył AWF i przez wiele lat był nauczycielem WF w zgierskich szkołach, z kilkuletnią przerwą na kierowanie Wydziałem Kultury Fizycznej w miejskim Inspektoracie Szkolnym. Po przeprowadzce do Rumi (żeby być bliżej córki, która po studiach tam osiadła), nadal aż do emerytury uczył WF. Zmarł w 2020 roku.

Jurek, podobnie jak duża część powojennych roczników młodzieży, był „przerodziły”, szkołę powszechną kończył z dwuletnim poślizgiem. Rozpierała go energia, także pod względem sportowym, w domu i w szkole. Na tyłach jego domu przy ul. Kilińskiego, bliżej Zelówka, znajdowały się szerokie pasy czegoś, co kiedyś było lasem, z rzadka porośnięte samosiejkami sosen i brzoź, różnymi krzewami i wrzosem. Tam urządził sobie rzutnię kulą, czyli okrągłym kamieniem, skoczną wzwyż, a także próbował rzucać własnoręcznie wystruganym oszczepem.

Naszą szkołę udawał budynek z lat dwudziestych, przy ulicy Szkolnej. Znajdowały się w nim cztery sale lekcyjne dla starszych klas, a na poddaszu pokój nauczycielski i jednozbowe mieszkanie woźnego.

Ubikacja na podwórku, a za boisko służyło klepisko sąsiedniej posesji. Na tym klepisku kopaliśmy piłkę (jeśli akurat była) oraz graliśmy w „dwa ognie” lub w palanta (zużytą piłką tenisową). Z inicjatywy Jurka powstało boisko do siatkówki. Siatkę (lub piłkę) zafundowała nam szkoła – na tyle było ją stać. Na piłkę (lub siatkę) pieniądze zarobiliśmy sami sprzedając podczas dużej przerwy słodkie bułki z piekarni p. Kędzierskiego (róg Kilińskiego i Żeromskiego). „Szefem” handlu – z bardzo małym narzutem – był Zygmunt Wejman. Słupki dostarczyli bracia Lipińscy z Pożdżenic. Niestety, pierwsza piłka była z bardzo kiepskiej skóry, po kilku pierwszych grach zaczęła się rozsypywać. Nie pamiętam, skąd wzięła się następna, znacznie lepsza i trwalsza.

Kolejnym współorganizatorem przyjazdu do Zelowa Arkadego Fiedlera był Zygmunt Wejman, wspaniały i serdeczny kolega, zawsze pogodny i wesoły, pełen najróżniejszych pomysłów. Podobno także po różnych przejściach wojennych i powojennych. Ich powody mogły mieć związek z okresowym ukrywaniem w czasie wojny przez jego rodziców pewnej Żydówki, zanim przedostała się do Generalnej Guberni. Jak było naprawdę, nie wiadomo, chociaż są przypuszczenia, że ten fakt miał wpływ na powojenne represje, którym poddano ojca Zygmunta, Adama. Dla

mnie jest to tym bardziej zagadkowa sprawa, że do lata 1949 roku bywałem bardzo często w domu państwa Wejmanów i spotykałem pana Adama.

Moje wspomnienia ze spotkań z rodziną Wejmanów mają jeden wyróżnik: podziw dla ojca Zygmunta. Nazwanie go „złotą rączką” to tak, jakby nie powiedzieć nic o jego umiejętnościach. Na posesji znajdowały się różne urządzenia, m. in. maszyny do wytwarzania kasz z jęczmienia, łuskania gryki, prosa itp. Prawdopodobnie część z nich była według pomysłu pana Adama i przez niego wykonana; szkoda, że opatentowanie było niemożliwe. Na strychu domu mieszkalnego było jeszcze jedno czynne urządzenie w jego wykonaniu: greplarka do wełny. Cała konstrukcja zawierająca przeniesienie napędu z silnika na kilkadziesiąt wałków o różnej średnicy i prędkości obrotowej, obitych specjalną taśmą z metalowymi haczykami do rozrywania i czyszczenia owczej strzyży – budziła mój nieklamany podziw. Na końcu tej „linii produkcyjnej” o szerokości około pół metra i długości ponad dwa metry, składającej się z kilkadziesiątu równoległe rozmieszczonych wałków, wychodził płat przedziwa przypominającego krawiecką watolinę, lepką z powodu dużej ilości lanoliny pokrywającej włókna, o specyficznym zapachu.

Zygmunt nie miał szczęśliwego życia. Wrodzona wada kręgosłupa sprawiła, że po trzydziestce zaczął się pochyłać, omalże do kąta prostego. Zmarł w 1974 roku w wieku 41 lat.

Wspomniałem, że spotkanie z Arkadym Fiedlerem odbyło się w baraku. Skąd on się wziął na części targowiska ze zwierzętami (świński rynek), przylegającej do terenu szkoły nr 1?

W 1944 roku Niemcy postawili kilka baraków z drewnianych prefabrykatów na obrzeżu lasów zaraz za ulicą Piotrkowską. Zamieszkali w nich przymusowi robotnicy, których zwieziono do kopania rowu przeciwczołgowego (jeden z bardziej idiotycznych pomysłów niemieckich strategów). Taki rów w obrębie Zelowa zaczynał się na granicy pola-las, w pobliżu istniejącej wtedy wieży triangulacyjnej (zwanej potocznie patrolką) i – skośnie w stosunku do układu pól – miał się kończyć między ulicami Wolności i Piotrkowską, w pobliżu cegielni Frezewitte'a. Najgłębiej wkopano się pod ulicę Wolności, resztę ledwo rozgrzebano.

Nim w styczniu 1945 roku nadszedł front, robotników wywieziono, a wkrótce po tym miejscowi zajęli się rozkradaniem wyposażenia i rozbiórką baraków. Przypuszczam, że ktoś przytomny w ówczesnych władzach (ciągle był rok 1945) postanowił wykorzystać elementy baraków (z rozbiórki lub zwiezione na budowę, lecz nie wykorzystane) do zbudowania baru złożonego ze ścian z oknami, z podłogą, lecz bez ścian wewnętrznych, ale z podwyższeniem na scenę. Mimo że od lutego 1945 roku do czerwca 1946 roku chodziłem do tej szkoły, nie pamiętam samej budowy, natomiast doskonale pamiętam nauczyciela Wilhelma Engla, który przez wiele tygodni (chyba w 1946 roku) malował farbami olej-

nymi na tylnej ścianie sceny olbrzymi obraz (około 2,5-3 m na 8-10 m), który przez wiele lat był tłem dla tego, co się na scenie działo.

Na środku obrazu była rosochata samotna sosna, z jednej strony pola z rzędem mendli zboża, z drugiej jakieś zagajniki, polna droga, miedze. Pan Engiel uczył mnie w klasie czwartej i kiedyś, gdy przyglądałem się jego pracy poprosił, żebym mu przywiózł farby z drogerii pana Olszewskiego.

Od jesieni 1946 roku zmieniłem szkołę na „dwójkę”, trzy lata później przenieśliśmy się do Pabianic, potem do Łodzi. W Zelowie byłem gościem i nie śledziłem, co się działo z barakiem. Podobno był też zastępczą salą gimnastyczną, potem czymś w rodzaju świetlicy. Jaki był jego koniec? Nie wiem, ale myślę że starsi mieszkańcy Zelowa mogliby tę wiedzę uzupełnić.

Opisane wydarzenia, z punktu widzenia młodzieńczych przyjaźni, mają raczej pesymistyczną wymowę. Ukończenie klasy siódmej dla wielu z nas oznaczało zasadnicze zmiany życiowe. Szkolnictwa na poziomie średnim jeszcze w Zelowie nie było, dopiero tworzono zręby Zasadniczej Szkoły Zawodowej o profilu tkackim i mechanicznym. Żeby myśleć o maturze ogólnokształcącej, trzeba było wyjechać. Pięciu z nas (Janek Pospiszyl i Włodek Włodarczyk z „jedyńki”, Janusz Kuliński, Włodek Łuczynski i ja z „dwójki”) wyładowaliśmy w ogólniaku im. Jędrzeja Śniadeckiego w Pabianicach. Przez cztery lata nauki mieszkaliśmy na stacjach wyszukiwanych przez rodziców, ponieważ internat dla uczniów ogólniaka zlikwidowano tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. Przez cztery lata byliśmy razem, dwóch z nas pełniło nawet funkcję gospodarza klasy (z wyboru). Po maturze czterech dostało się na różne kierunki na Politechnice (Włodek Ł. szukał miejsca na medycynie). Przez całe studia mieszkaliśmy w tym samym akademiku, co znakomicie ułatwiało podtrzymywanie zelowskich więzi, nawet do późnej starości. Do dzisiaj (piszę to w czerwcu 2023 roku) mam kontakt z Włodkiem Włodarczykiem mieszkającym w Cieszynie. Niech ten fakt będzie symboliczną klamrą łączącą rok 1945 (w lutym spotkaliśmy się w tej samej klasie trzeciej, której wychowawczynią była pani Maria Kiełczewska) z dniem dzisiejszym – 23 czerwca 2023 roku. Co wydarzy się w następnych dniach i latach. Ale to zobaczą już inni...

29.06.2023

Jerzy Swodoba

Fiedler Arkady, ur. 28 XI 1894, Poznań, zm. 7 III 1985, Poznań. Pisarz i podróżnik; zwiedził wiele krajów (początkowo jako wystannik polskich muzeów przyrodniczych), m.in.: Brazylię, Kanadę, Madagaskar. Podczas II wojny światowej walczył w armii polskiej na Zachodzie. Autor popularnych reportaży i opowieści podróżniczych, m.in.: *Ryby śpiewają w Ukajali* (1935), *Kanada pachnąca żywicą* (1937), *Madagaskar, okrutny czarodziej* (1969), powieści przygodowych oraz książek o udziale polskich lotników i marynarzy w II wojnie światowej na Zachodzie *Dywizjon 303* (1942) i *Dziękuję ci, kapitanie* (1944). W 1978 roku otrzymał nagrodę państwową I stopnia.

Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (203)



Fot. Andrzej Dębowski

IV Załamania psychiczne

Należy odróżniać zabijanie człowieka, karę śmierci, eutanazję, odłączanie od aparatury podtrzymującej życie i samobójstwo. Zabijanie człowieka na wojnie może kończyć się przyznawaniem orderów. Zabijanie zaś w czasach pokoju – karą śmierci. Chcąc w naszym społeczeństwie wywołać opór w stosunku do zezwolenia prawnego na eutanazję – często się stwierdza w mediach, że w czasach hitlerizmu Niemcy stosowali w obozach koncentracyjnych eutanazję, co nie jest prawdą, więźniowie bowiem byli zabijani, a chcieli żyć i wielu z nich żarliwie się o to modliło.

Procedura eutanazji odnosi się wyłącznie do kogoś, kto uporczywie pragnie zakończyć swoje życie i jest w pełni świadomy tego, czego się domaga. Wykluczona jest eutanazja w kręgu osób niepełnosprawnych intelektualnie, niepełnoletnich i chorych psychicznie.

Osoby pogrążone w stanie śpiączki skazuje się na śmierć, jeżeli odłączane są od aparatury wspomagającej życie. Trzeba też dodać, że prawo zezwalające na eutanazję nikogo nie zmuszałoby do niej. Zdarzają się przypadki kryminalne uśmiercenia osób w domach starców, ale nie ma to nic wspólnego z eutanazją.

Uznając, że człowiek rodzi się jako istota wolna, mimo dzielących nas różnic, powinno się mieć szacunek dla dokonywanych wyborów przez każdego człowieka. Wobec tego zadaniem prawodawców nie jest rozstrzygnięcie toczących się od wieków sporów moralnych. Jednym z warunków rzeczywistej wolności jest rozdzielanie prawa stanowionego i moralności. Nie znaczy to, że prawo jest niemoralne, ale nie powinno być wyrazem nakazów i zakazów żadnej z wielu etyk. Wielcy filozofowie, poczynając od Kanta, stoją na stanowisku, że zadaniem prawa jest wyrównywanie zakresu wolności wszystkich obywateli i zagwarantowanie jej mocą przymusu prawnego. Dzięki temu każdy może żyć zgodnie z taką etyką, która do niego przemawia. Jedynie w państwach totalitarnych przepisy prawne podlegają określonej etyce, czyli teorii moralnej uznanej przez władców za jedynie słuszną.

Należy się odnosić z szacunkiem do osób, które wbrew instynktowi samozachowawczemu domagają się, by zastosować wobec nich procedurę eutanazji. Decyzja narodzin nie zależy od naszej woli; nikt nas nie pytał czy chcemy istnieć, więc miejmy prawo do decyzji o sposobie odejścia z naszej planety. Mocno ten problem akcentował Sartre, współtwórca egzystencjalizmu.

Samobójstwo z reguły nie jest decyzją przemyślaną. Dochodzi do niego najczęściej pod wpływem tak silnych emocji, że wywołują „uśpienie rozumu”. Problem samobójstw narósł w czasach neoliberalizmu ekonomicznego, czyli neokapitalizmu, który odrzucił koncepcję państwa opiekuńczego. Było ono cenione w okresie liberalizmu ekonomicznego, czyli kapitalizmu. Pojawiło się obecnie nowe zjawisko, a mianowicie odbieranie sobie życia przez ludzi sędziwych. A trzeba brać pod uwagę, że instynkt samozachowawczy potęguje się wraz z upływem lat. Samobójstwa osób sędziwych są wyrazem dramatycznej sytuacji, do czego prowadzi bieda, eksmisja z mieszkania, niemożność spłacania pożyczek zaciągniętych w banku.

Stany uczuciowe, jak wiadomo, są zmienne, przemijające. Często charakterystyczna jest dla nich ambiwalencja i ambitenwencja. W przypadku samobójstwa następuje zespolenie psychiki jednym stanem na tyle mocno, że wyłącza jakiekolwiek wahania. Rozpacz integrująca różnorodne myśli i uczucia w przypadku Anny Kareniny – bohaterki powieści Lwa Tołstoja – osiągnęła tak wysokie natężenie, że rzuca się pod pociąg. Rozum samobójców milnie wobec siły przeżyć determinujących ten krok.

W literaturze pięknej i we wspomnieniach niektórych rodzin pojawiają się opisy samobójstwa z powodu nieszczęśliwej miłości, odrzucenia w sposób pozbawiony nadziei. Nasuwa się tu myśl o XI przykazaniu sformułowanym przez profesora Juliana Aleksandrowicza: „Nie trać nadziei”. Właśnie jej utrata wyjaśnia czyny samobójcze niezależnie od różniących się między sobą bezpośrednich powodów targnięcia się na życie. Śmierć kogoś bardzo bliskiego, nieszczęśliwa miłość, informacja o nieuleczalnej chorobie, zdrada, bankructwo to tylko kilka przykładów tych czynników, które, przepełniając rozpacz, prowadzą do odebrania sobie życia.

Natężenie przeżywanego nieszczęścia jest trudno wyobrażalne, skoro zwycięża siłę instynktu samozachowawczego. Jest to najsilniejszy instynkt, co dawno już zostało ustalone, w opozycji do stanowiska Freuda.

Pisze się wiele o wrażliwości i uczuciowości kobiet, a jednak mniej jest samobójczyń niż samobójców. Wyjaśnienia należy szukać w odmienności natury kobiet i mężczyzn. Niejeden myśliciel pisał o „wiecznej kobiecości”. Podejmowali ten problem także wielcy pisarze, formułując w powieściach, w formie dygresji, cenne myśli. Można je odnaleźć na przykład w powieściach Ignacego Józefa Kraszewskiego, ale przede wszystkim w utworach Anais Nin, Zeldy Fitzgerald, Simone de Beauvoir czy w dziennikach Marii Kasprowiczowej.

Mniejszą liczbę samobójstw kobiet niż mężczyzn, z filozoficznego punktu widzenia należy wyjaśnić tym, że kobiety mają mocno rozwinięty zmysł praktyczny, są bardziej osadzone w życiu codziennym niż mężczyźni od dani temu, co wykracza ponad zabiegi dnia codziennego. Okazuje się, że sprzyja utrzymaniu równowagi psychicznej, której brak może doprowadzić do targnięcia się na życie, zainteresowanie sprawami „przyziemnymi”, bo one od nas są zależne. Rozwinięty instynkt macierzyński także należy zaliczyć do czynników przeciwdziałających odbieraniu sobie życia przez kobiety.

Ażeby wniknąć głębiej w problem samobójstw, trzeba stanąć na stanowisku tych filozofów, którzy, poczynając od Kanta, rozdziałają poczucie sensu życia od zagadnienia szczęścia. Do szczęścia prowadzą nas niezawodnie uczucia. Rozum, a raczej argumenty rozumowe skłaniają nieraz do tego, by wybrać drogę na przykład obowiązku, a nie szczęścia. Sens istnienia człowiek odnajduje w zmierzaniu do wartości wyższych, czyli ideałów, a więc w tym, co łączy nas z innymi nieznanymi nam ludźmi. Odnajdując sens własnego istnienia, człowiek znajduje oparcie trwałe i niezawodne. Natomiast ograniczanie własnego istnienia do problemu szczęścia czyni nas zależnymi od innych osób, od ich woli, od zmienności przeżywanych przez nie uczuć, od ich zdolności do uczucia wdzięczności, zależnymi od stopnia rozwiniętego poczucia obowiązku, od oczekiwanej przyzwoitości.

Zależność emocjonalna od drugiego człowieka opiera się na nietrwałym gruncie. Jeżeli jest bardzo mocna i nie równoważy jej poszukiwanie sensu życia, to osoby wrażliwe i o wysoko rozwiniętej uczuciowości może prowadzić w skrajnych przypadkach do samobójstwa. Samobójstwo popełnia człowiek postawiony w sytuacji skrajnej. Ten akt odebrania sobie życia wyraża zarazem prawdę o dramatycznym osamotnieniu jednostki.

Pisze się niejednokrotnie o samotności samobójców, ale w imię precyzji myślowej i językowej należy odróżniać stany osamotnienia i samotności. Ten ostatni z wymienionych stanów psychicznych jest pożądany, zwłaszcza w naszej epoce nadmiaru informacji wywołujących zagubienie. Samotność to inaczej rozmowa ze sobą, przynosząca nam wiedzę o naszych stanach uczuciowych, o hierarchii wartości, o tym, czego się pragnie a ku czemu dążymy, mając zmanipulowaną świadomość. Samotność przywraca nam własny autentyzm. Poznawanie siebie jest procesem, który powinien trwać tak długo, jak istniejemy.

Natomiast osamotnienie – w swym najwyższym natężeniu zespolone z czynami samobójczymi – to dramatyczna sytuacja człowieka, który nie znajduje porozumienia z otaczającymi go ludźmi i swoją odrębność przeżywa dramatycznie. O ile samotność jest naszym wyborem, to osamotnienie jest stanem, na który jesteśmy skazani.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(48)

13 stycznia 2020

Studiowałem „Zarys dziejów religii”, wydany jeszcze w 1976 roku. Nie znałem go wcześniej, jakkolwiek książek z historii religii nie brakuje w mojej bibliotece, m.in. dzięki Kazkowi B., obecnie emerytowanemu prof. UJ. Mimo to uważam ją za cenny nabytek, tym bardziej że nic mnie nie kosztował. Pewnie, że nie zamierzam ponownie stać się agnostykiem i poszukiwaczem „prawdy”, ale przynajmniej wiedzieć, co na ten temat mówią naukowcy. A najbardziej interesują mnie religie starożytne i to te najwcześniejsze, choć akurat ten okres jest najmniej znany i cała wiedza polega raczej na dociekaniach niż na faktach, bo dowodów mamy niewiele. Więcej wiemy na ten temat, odkąd wynaleziono pismo. Kazek B. chciał mnie zresztą przed laty namówić na studia religioznawcze, które wtedy były jeszcze podyplomowe, ale odmówiłem z różnych względów, a przede wszystkim z braku czasu. Wiązało się to z dojazdem do Krakowa. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Praca naukowa wymaga pewnego komfortu, którego wówczas nie miałem. Patrycja chodziła do żłobka, a potem do przedszkola. A w domu pomagała mi tylko teściowa.

14 stycznia 2020

Dziś znów miałem szczęście dostać gratis 2 książki: 1. Tokarczyka, „Współczesne doktryny polityczne”, wyd. w 2001 r. i regionalna, 2. Ewy Sęk, „Wychowanie młodzieży” na przykładzie KDK Arka w Raławicach k. Niska, praca doktorska autorki. Pewnie, że obie nie są do czytania do poduszki, ale zasilają mój księgozbiór stalowowsko tarnowski. Może kiedyś do nich wrócę?...

W mediach wre, bo zjechały do Polski różne delegacje z krajów UE, by przysłuchać się rozmowie w Senacie przedstawicieli środowisk prawnych na temat proponowanych przez PiS zmian w funkcjonowaniu naszego sądownictwa. Jakkolwiek ta opinia nie będzie miała wpływu na decyzję parlamentu, czyli Sejmu, ale de facto jest klęską wizerunkową partii rządzącej. Teraz wiadomo, kto sobie nawarzył piwa? Czy znów trzeba będzie rozdawać pieniądze jak w Argentynie czy Chile, aby zdobyć głosy wyborców?... Bo o Wenezueli i innych kubopodobnych krajach nawet nie wspominam i nie śmiem nawet porównywać. Panowie, a może by rządzić normalnie: nie kłócić się i nie walić po „zakazanych mordach” czy jeszcze inaczej, i dbać o gospodarkę, a nie tylko o Piotra Dudę, by się utrzymał na stanowisku szefa NSZZ „Solidarność”. On zawsze może żądać więcej niż to jest realne w gospodarce rynkowej, bo jemu wolno, ale nie wszystko, co chce, należy

spełniać. Lobby węglowego też broni. I to jak! A przecież wiemy, jakie musimy płacić kary za to, że mamy gospodarkę opartą na węglu. Miłość do związków zawodowych nie może zaślepiać rządzących! Pokazała to Margaret Thatcher, brytyjska premier, która potrafiła kiedyś tę walkę wygrać. Pamiętam, jak Polska, nie tylko zresztą, zapraszała na wakacyjny wypoczynek dzieci „biednych” brytyjskich górników(!), zwalnianych z pracy z powodu zamykania kopalni.

15 stycznia 2020

Bardzo wiele mówi się ostatnio o ekologii, ale jak tylko podnosi się cenę za wywóz śmieci, zaraz powstaje wielkie larum. Tak jest właśnie w tym roku. A przecież muszą ludzie zrozumieć, że im więcej produkują śmieci i odpadów, to koszt recyklingu będzie coraz wyższy. Trzeba uczyć ludzi, by śmieci przynajmniej sortowali. Przede wszystkim młodzież szkolną. Bo im wyższy poziom cywilizacyjny tym śmieci będzie coraz więcej. Można porównać ilość śmieci na jednego mieszkańca u nas i w krajach wysoko rozwiniętych. Tyle tylko, że oni z tym problemem radzą sobie lepiej, bo wcześniej zaczęli je sortować. My jesteśmy dopiero w pół drogi. Może nawet i to stwierdzenie jest zbyt optymistyczne i na wyrost, ale niech tam.

Ze zbioru 19 opowiadań Olgi Tokarczuk „Gra na wielu bębenkach” (wydanie 2, 2002) przeczytałem „Otwórz oczy, już nie żyjesz”, drwiące sobie z autorów i czytelników modnych obecnie kryminałów. Sympatycznie i z humorem napisane. Naprawdę. Nasza noblistka miała wówczas zaledwie 40 lat, a może nawet nie. Tym większe moje uznanie. Bo to opowiadanie pokazuje także jej talent literacki. Nie wiem, jak reagują na nie czytelnicy kryminałów? Ale przecież oni takich książek nie czytają. Im chodzi o akcję, trzymanie czytelnika w napięciu aż do ostatniej strony. Reszta się nie liczy. Nawet tak znakomity, subtelny pastisz.

Jutro u nas wielkie święto. Do Stalowej Woli przyjeżdża prezydent Andrzej Duda na otwarcie wystawy „Od COP do Gospodarki 4.0”, zorganizowanej przez Agencję Rozwoju Przemysłu, na terenie dawnej HSW. Chętnych do zwiedzenia wystawy będą woziły autobusy. W tym celu uruchomiona została specjalna linia (sic!).

16 stycznia 2020

Byłem na tej imprezie, otwarciu wystawy gospodarczej z udziałem głowy państwa, prezydenta Andrzeja Dudy. Organizacyjnie wszystko dopięte na ostatni guzik. Mnóstwo ludzi – od dzieci do starców. Autobusy dowoziły chętnych non stop. Ochrona działała też niezawodnie. Miód i wino piłem. Andrzeja Dudę widziałem. Obaj prezydenci młodzi i przystojni, i pewnie sympatyczni. Pamiętek też przyniosłem kilka, foldery i mapy woj. podkarpackiego i lubelskiego (Roztocze). A najadłem się różności tyle, że szkoda mówić.

Obiadu w domu jeść odmówiłem. Było pięknie, cieszyłem się z rosnącego potencjału przemysłowego. I chciałbym wierzyć temu, co mówiono, i temu, co słyszę ciągle w rządowej telewizji, że żyjemy dzięki rządzącym w raju na ziemi, ale niestety nie mogę w tę wizję jakoś uwierzyć, bo ciągle mam w pamięci i przed oczyma kolejki w przychodniach, i tu w Stalowej Woli, i w Szpitalu Wojewódzkim w Rzeszowie. Szkoda, że tam się nie prowadzi prezydentów, premierów, senatorów, ministrów, posłów, redaktorów TVP i innych rządowych propagandzistów. Bo zobaczyliby prawdziwą Polskę, inną niż tę, którą nam pokazują i o niej tak pięknie opowiadają. Szkoda! A mogliby jeszcze wpaść do byłego mojego lekarza rodzinnego, doktora(?) Zbigniewa B., który nie robi żadnych badań. Spójrzy tylko na człowieka i już wszystko wie, na jaką chorobę cierpi. U mnie na przykład, gdy miałem raka, zdiagnozował, i to tylko swoimi oczyma - bo innych badań przecież nie robił - że mam kłopoty z nerkami i zapisał fitolizynę, zresztą kilkakrotnie, tak jak w austriackim wojsku, opisywanym przez Haszka w „Dobrym wojaku Szwajku”, gdzie na wszystkie bolączki zalecano żołnierzom lewatywę. Bieś chyba tam odbywał praktykę, stąd wie. Na raka pęcherza stosuje natomiast nowszy lek - fitolizynę. Radziłbym władzom, aby uhonorowały go choćby jakimś skromnym krzyżem za oszczędność, bo nie zlecając chorym badań, a rozpoznając tylko swoim „sokolim wzrokiem”, tak jak było przed wiekami, zaoszczędza NFZ setki tysięcy złotych. Choć potem trzeba to wielokrotnie nadrobić, gdy choroba się rozwine, jak właśnie u mnie. Chyba że ktoś wcześniej wywiozą na cmentarz. (Mówią, że ma ponoć kontrakt z ZUS-em?) Wtedy jego zasługi dla NFZ będą niepodważalne. Też to trzeba docenić, jak jego szefowa, która mówi wprost, że ona takiego dobrego lekarza nie zwolni, bo lekarzy brakuje.

Miroslaw Osowski



Rys. Barbara Medajska

POEZJA

Margaret Atwood, *Wiersze przychodzą późno*. Z angielskiego przełożył Jerzy Jarniewicz. Wydawca: Urszula Ruzik-Kulińska. Redaktor prowadzący: Iwona Denkiewicz. Opieka redakcyjna: Filip Modrzejewski. Korekta: Ewa Grabowska. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2023, s. 128.

Małgorzata Anna Bobak-Końcowa, *Czerwone lakierki*. Redaktor tomu: Mirka Szycho-wiak. Korekta: Katarzyna Kusoń, Akwarele na okładce: Małgorzata Anna Bobak-Końcowa. Wydawnictwo Anagram, Warszawa 2022, s. 64.

Bogusława Chwierut, *Esencja Róży*. Redakcja i projekt okładki: Agnieszka Herman. Korekta: Magdalena Kapuścińska. Fotografie: Bogusława Chwierut. Wydawnictwo – Fundacja Poetariat, Wieluń 2023, s. 80.

Maria Duszka, *Hanami*. Posłowie: Jadwiga Mizińska. Opracowanie redakcyjne: Piotr Sennetra. Projekt okładki: Anna Wysocka. Wydawca: „Norbertinum” Wydawnictwo – Drukarnia – Księgarnia, Lublin 2023, s. 66.

Franciszek Haber, *Droga z wersów*. Zdjęcie na okładce: Samuel Girven. Projekt okładki: Cyprian Zadrożny. Projekt okładki: Cyprian Zadrożny. Nakład autorski bez miejsca wydania, 2023, s. 96.

Franciszek Haber, *Za drzwiami percepcji*. Projekt okładki: Cyprian Zadrożny. Projekt okładki: Cyprian Zadrożny. Nakład autorski bez miejsca wydania, 2022, s. 108.

Adriana Jarosz, *Modlitwy malowane trzciną*. Redakcja i posłowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Opracowanie graficzne: Joanna Plichta. Fotografia Autorki: Andrzej M. Makuch. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2018, s. 84.

Ireneusz Kaczmarczyk, *Echo serca*. Projekt okładki: Artur Paluszyński. W projekcie okładki i w tomiku wykorzystano ilustracje Tomasza Bohejdyna. Seria Archetypy Wyobraźni. Fotografia Autorki: Marcin Kiełkiewicz. Wydawca: ENETEIA Wydawnictwo Szkolenia, Warszawa 2023, s. 118.

Moje spotkania z Łodzią. Almanach IX Złotu Poetów. Redakcja: Małgorzata Skwarek-Gałęska. Okładka: Dominika Anna Gałęska. Zdjęcia: Leszek Lisiecki i MTS-G. Nakład autorski, Łódź 2023, s. 310.

Stanisława Ossowska, *Świetliki*. Redakcja i korekta: Stanisława Ossowska. Fotografie na okładce: Stanisława Ossowska, Sławomir Ossowski. Projekt okładki: Sławomir Ossowski, Sylwia Petryga. Wydawca: Fundacja Kultury Informacyjnej, Nadarzyn 2023, s. 186.

Grażyna Rozwadowska-Bar, *obudziłam wiersze*. Posłowie: Mirosława Szott. Redakcja: Ewa Mielczarek, Mirosława Szott. Ikonografia: Ryszard Tomczak (autoportret, okładka i wewnętrzne ilustracje z cyklu Chaos). Zdjęcie

autorki: Mirosława Szott. Wydawca: Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Zielona Góra 2023, s. 52.

Tomasz Różycki, *Ręka pszczelarza*. Redakcja: Joanna Zach. Redaktor prowadzący: Paulina Gwóźdź. Projekt okładki: Witold Siemaszkiewicz. Na okładce: Wojciech Siemaszkiewicz, Ikar. Opieka redakcyjna: Dorota Gruszka, Dominika Kraśnienko-Majorczyk. Korekta: Małgorzata Biernacka, Aleksandra Kiełczykowska. Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2023, s. 88.

Janina Barbara Sokołowska, *W podręcznej torbece noszę ich kości. I carry their bones in my handbag*. Redaktor: Paweł Majerski, prof. Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Tłumaczenie: Marta Maria Chmielowiec. Projekt okładki: Kamil Potęga, Studio Grafpa. Zdjęcie na okładce: Foto-Pasek Dąbrowa Górnicza. Agencja Wydawnicza Gajus, Gdańsk 2023, s. 94.

Józef Stopka-Faktor, *Hodnikiem Świyntości*. Przygotowanie: Józef Stopka-Faktor. Projekt okładki: Zdjęcie krzyża na Giewoncie na I stronie okładki: Franciszek Fatla. Fotografia na IV stronie okładki: Arkadiusz Morawski. W publikacji wykorzystano zdjęcia z archiwum autora. Grafiki: Stanisławy Karpel Fatli i Andrzeja Gąsienicy Walczaka. Nakład autorski, Zakopane 2022, s. 128.

Teodozja Świdarska, *W błysku chwili*. Redakcja ogólna: Jacek Lubart-Krzysica. Redakcja literacka, kompozycja i tytuły cykli: Harry Duda. Wydawca: Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2018, s. 72.

Teodozja Świdarska, *Wytrąceni z biegu*. Redaktor serii i tomu: Łucja Dudzińska (tom 56). Projekt okładki: Maria Kuczara. Zdjęcie autorki z archiwum domowego. Wydawca: Fundacja Otwartych na Twórczość – FONT, Poznań 2021, s. 50.

Teodozja Świdarska, *W wychyleniu*. Redakcja i Od Wydawcy: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Posłowie: Teresa Nietyksza. Grafika na okładce: Maria Krystyna Pierszkała. Zdjęcie: z archiwum autorki. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2020, s. 72.

Teodozja Świdarska, *Dotyk świata. The touch of the world*. Przekład: Anna Maria Stępień. Redakcja: Alicja Maria Kuberska. Projekt okładki i grafika: Agnieszka Herman. Wydawnictwo NIGHTinGALE, Inowrocław 2023, s. 112.

Grażyna Tatarska, *Zamiast ptaków drony. Wiersze dla Ukrainy*. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Agnieszka Hernam. Wydawnictwo Ars3, Warszawa 2022, s. 90.

Ukaz. Antologia polsko-ukraińska. Redakcja i przekłady: Małgorzata Skwarek-Gałęska. Okładka: Dominika Anna Gałęska. Tytuł i koncepcja okładki: Ryszard Krauze. Wydawca: Katamaran Literacki, Łódź 2023, s. 150.

Warsztaty Twórczego Pisania. Opalone. VI Antologia Klubu Poetyckiego Opal. Redakcja: Krystyna Mazur. Korekta: J. Opaliński. Opracowanie

graficzne: bezet@o2.pl. Wydawca: Samorządowa Agencja Promocji i Kultury w Szczecinku, Szczecinek 2023, s. 108.

Ryszard Wasilewski, *Kontrasty*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Korekta: Paweł Jaroniak. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Zdjęcie na IV stronie okładki: Barbara Pluta. Wydawca: Marszałek Development & Press, Toruń 2023, s. 92 + płyta.

PROZA

Stanisław Brejdygant, *Zwierzenia*. Redaktorka inicjująca: Elżbieta Kalinowska. Redaktorka prowadząca: Dorota Zwierzchowska. Redakcja: Hanna Trubicka. Korekta: Małgorzata Denys, Katarzyna Bury. Projekt okładki i stron tytułowych: Olga Wojewódzka. Zdjęcie autora © Karol Stępkowski. Seria *Archipelagi*. Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o., Warszawa 2023, s. 396.

Szymon Koprowski, *Szepty i krzyki Stumilowego Lasu*. Redakcja: Robert Cioch. Korekta: Klaudia Czupryniak, Paulina Krawczyk. Na podstawie rysunku Stefana Żechowskiego projekt okładki wykonał Bartosz Harlender. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2023, s. 224.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Simonetta Cerrini, *Rewolucja Templariuszy. Nieznana karta dwunastowiecznej historii*. Przekład: Justyna Nowakowska. Przygotowanie edycji: Jacek Małkowski. Redakcja i korekta: Aleksandra Marczuk, Barbara Faron, Projekt okładki: Joanna & Grzegorz Japoł. Ilustracja na okładce: Alamy/BE&W. Wydawnictwo Astra, Kraków 2023, s. 352.

Emiliano Fittipaldi, *Chciwość*. Redakcja i korekta: Julia Szypulska, Jacek Cezary Kamiński. Wydawnictwo Glowbook, Sieradz 2923, s. 206.

Dariusz Michalski, *Ten Bryll ma styl. Opowieść o Ernście Bryllu*. Projekt okładki: Zuzanna Malinowska Studio. Korekta: Dorota Ring. Na obwołucie wykorzystano fotografię autorstwa Bogusława Augustyniaka. Zdjęcia wewnątrz książki z archiwum domowego Ernesta Brylla. Wydawnictwo MG, Warszawa 2023, s. 464.

Przemysław Sadura, Sławomir Sierakowski, *Społeczeństwo populistyczne*. Redakcja: Kinga Dunin. Korekta: Ula Roman. Opieka redakcyjna: Jaś Kapela. Projekt okładki i układ typograficzny: Katarzyna Błahuta. Zdjęcie autorów: Jakub Szarański. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2023, s. 266.

Anthony Tucker-Jones, *Most Diabła. Arnheim 1944*. Przełożył: Sławomir Kędziński. Redaktor: Arkadiusz Wingert. Korekta: Bogumiła Jędrasik. Redaktor techniczny, projekt okładki i stron tytułowych: Marcin Adamczyk. Wydawnictwo Bel-lona, Warszawa 2023, s. 336.

W „Tygodniku Powszechnym” (nr 28/2023) wywiad Katarzyny Kubisiowskiej z Ewą Lipską:

(...)

Katarzyna Kubisiowska: – Nie daje mi spokoju Twój rozwód z poezją. Może wynika i z tego, że liryka nie przystoi do brutalności świata?

Ewa Lipska: – Wręcz przeciwnie. Liryka kocha sytuacje ekstremalne i może dlatego liczba poetów na świecie nie maleje. Chyba że zastąpi ich sztuczna inteligencja. Takie próby już powstają, ale te wiersze mają jakieś „żelazne tętno”, czegoś w nich brak. Nie słychać bicia serca. Jeszcze. Może to się też zmieni. I nie będzie już chodzić o bicie serca? Widziałam ostatnio film dokumentalny z Japonii o śmierci metalowych psów i pogrzebowych ceremoniach. Psy roboty zachowywały się jak „żywe” i dopóki „weterynarom” udawało się je naprawiać, wymieniając kolejne śrubki, wszystko było w porządku. Ale nawet przy wielkiej miłości właścicieli nadszedł czas, że już nic więcej nie dało się zrobić i psa można było tylko oddać na złom. Japończycy postanowili chować je na cmentarzach, odprawiają nabożeństwa, śpiewają pieśni. Są przemówienia, leją się łzy.

(...)

– I to wszystko ma być wina polityki?

– Martwi mnie sytuacja polityczna, martwi mnie sytuacja prawna, martwi mnie stosunek do kobiet, do mniejszości seksualnych i powolne odchodzenie od demokracji. Jesteśmy skłóceni z całą Europą, a za ścianą mamy wojnę.

– Nie umiemy korzystać z wolności?

– Zawsze z tą wolnością mieliśmy kłopoty i nieodpowiedzialnie przy niej majstrujemy. Ludziom się lepiej powodzi i nie zastanawiają się nad trójpodziałem władzy czy wolnością mediów. Ale to wszystko do czasu. Warto wracać do słów Mariana Turckiego: „Nie bądźcie obojętni, kiedy widzicie, że przeszłość jest naciągana na poczet aktualnej polityki. Nie bądźcie obojętni, kiedy jakkolwiek mniejszość jest dyskryminowana... Auschwitz nie spadło z nieba”.

Gdy jeździłam do Wiednia starą trasą, przez Cieszyn, to w Czeskim Cieszynie bardziej czułam się już na Zachodzie. Może dlatego, że lubię ten czesko-hrabalowski stosunek do życia czy humor twojego i mojego Oty Pavla. Wystarczy przeczytać jego „Śmierć pięknych saren”, z zaskakującym humorem tragedii. (...)

– Konstytucja jest jak noga, a faszyzm jak teściowa. Tę pierwszą złamać można po wielokroć, i to w wielu miejscach, ta druga co jakiś czas nadciąga, niosąc widmo apokalipsy – pisze Robert Mazurek w „PlusMinus”, dodatku do „Rzeczpospolitej”, numer 128/2023).

Pokusa, by powiedzieć „A nie mówiłem?”, pojawia się często, choć zwykle nie tryumf, lecz poczucie rezygnacji temu towarzyszy. Czasem jednak nie da się jej uniknąć. Tak, to wszystko było łatwe do przewidzenia. Opozycyjni historycy po raz pierwszy odtrąbili koniec demokracji i faszyzm, gdy PiS nie zdążył jeszcze na dobre sformować rządu, wystarczyło, że ośmielił się wygrać wybory. Rząd powstał i zaczęła się gra: PiS robi cokolwiek, obłąkany komentariat rwie włosy z głowy. Taka „akcja – reakcja”, i o ile akcja może się różnić, o tyle reakcja jest zawsze ta sama: byle mocniej, byle głośniejsze, na maksa, bez żenady. Kanapkowe pucze, sądowe protesty ze świeczkami, namiotowe biwaki pod kancelarią premiera, głódówki, marsze i demonstracje miały dodawać powagi coraz bardziej obłąkanym odezwoom dziennikarzy, odezwoom, od których i te łamy nie były wolne. To oczywiste, że jeśli po stokroć budzisz cały świat wrzaskiem „Pali się!”, gdy pożar jest wyłącznie wykwittem twej wyobraźni, to gdy ogień rzeczywiście się rozprzestrzeni, nikt w twe alarmy nie uwierzy. Proste, znane, jasne. I pojawił się raz, drugi, trzeci – może nie zaraz pożar stulecia, ale z pewnością ogień, coś było na rzeczy. Rozzuchwalony brakiem realnej kontroli obóz władzy pozwala sobie na coraz więcej. Nawet jeśli nie faszyzm pełną gębą, to na pewno złamanie reguł, co najmniej falandyzacja prawa, jazda już nie po bandzie, ale hen za nią. I co? I pstro. Lud nie reaguje, nie roznosi w pył komitetów partii, nie szturmuje Sejmu. Powiecie, że ogłupiony tępą propagandą w TVP i skorumpowany 500+ suweren nie rozumie powagi sytuacji? Nie, on po prostu przywykł do tego, co mu sami serwowaliście. (...)

Również w „Tygodniku Powszechnym” (nr 34/2023) wywiad Przemysława Wilczyńskiego z artystką kabaretową Joanną Kołaczkową:

(...)

Przemysław Wilczyński: – Myśli Pani czasami o śmiechu Polaka? Co się w nim zmienia?

Joanna Kołaczkowska: – W miarę, jak naród coraz bardziej się dzieli politycznie, większe jest też chyba oczekiwanie wzięcia oddechu

od polityki. Choć nie zawsze. Rozstaliśmy się nie tak dawno z menedżerem, który m.in. chciał, byśmy w tę politykę wreszcie weszli. Zaczął nawet publikować na naszym Facebooku polityczne apele...

Raz o politykę pokłóciliśmy się zresztą także w naszym gronie.

Powiem to Panu w absolutnej tajemnicy: myśmy z Darkiem Kamysem, który prywatnie jest mężem mojej siostry, byli po dwóch stronach politycznej barykady.

– Kto był „gamonem z rządu”, a kto „głupkiem z opozycji”?

– Pije pan do naszego jedyne politycznego skeczu, napisanego przez Władka Sikorę, pokazującego modelową debatę. To było do zaakceptowania, bo ten skecz nie stanowił bieżącej publicystyki – pokazywał coś ponadczasowego.

A kto był kim w naszej awanturze, tego panu oczywiście nie zdradzę.

– Wystarczy mi sensacyjna wiadomość, że członkowie Hrabi – tłumaczący swój dystans do polityki „własnym stylem” i chęcią łączenia Polaków – sami skoczyli sobie do gardeł.

– Pamiętam, że powiedziałam nawet wtedy: „Skoro tak, to ja nie wyobrażam sobie dalszej współpracy”, choć wcale tak nie myślałam. To był tylko taki szantażyk. Zresztą od tamtej pory zdążyliśmy się do siebie światopoglądowo zbliżyć.

A bieżąca polityka naprawdę nie jest w naszym stylu – i jest to świadomy wybór artystyczny. A może nawet etyczny: my nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić sytuacji, że naszmiewamy się z jakiejś konkretnej, żyjącej osoby.

(...)



Rys. Sławomir Łuczyski

Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący – Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębowska, prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosze, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Adam Lewandowski, Sławomir Łuczyski, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyzkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotla.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.